

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 25. Warszawa, dnia 11 (23) Czerwca 1876 roku. **Rok 12.**

CENA PRENUMERATY:

w Warszawie z odn. do domu		na prowincyi w Cesarstw. i Królestwie.	
rocznie	rs. 6 k. —	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie	„ 3 „ —	półrocznie	„ 4 „ —
kwartalnie	„ 1 „ 50	kwartalnie	„ 2 „ —
miesięcznie	„ — „ 50		

w Krakowie rocznie z stemplem dziennikar. Zlr. 10.
w Galicyi Zlr. 11 cent 50. — w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY i EKSPEDYCYA
PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT Nr. 72 NOWY.

Skład główny: w Poznaniu w Księgarni *Leitgebera i Spółki;* we Lwowie w *Księgarni Polskiej*, ulica Kopernika Nr. 12; w Krakowie w Księgarni *Gebethnera i Spółki;* w Wilnie u *J. Zawadzkiego.*

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15

Od Redakcyi.

Upraszamy łaskawych pp. prenumeratorów o wczesne nadsyłanie przedpłaty na prenumeratę „Opiekuna Domowego„ w kwartale III-cim, pośpiech bowiem w zapisach ułatwi nam regularną wysyłkę pierwszych zwłaszcza numerów pisma.

JAK UCZYĆ DZIECI:

czytania, pisania, rachunków i w ogólności nauk elementarnych.

NAPISAŁ

Feliks Polkowski

b. nauczyciel szkoły elementarnej.

Gdy zejdzie się rolnik z rolnikiem, rzemieślnik z rzemieślnikiem i t. p., wtedy zwykle prowadzą rozmowę, dotyczącą się ich powołania: jeden drugiemu udziela wzajemnie rad, objaśnień; opowiada różne swoje wypadki i rezultaty, jakie mu wypadły z trafnego lub też mylnego postępowania. Tym więc sposobem człowiek nie tylko z własnego ale i z cudzego doświadczenia korzysta; na tej też zasadzie i ja pracując w zawodzie nauczyciela szkoły elementarnej lat przeszło trzydzieści pięć, pragnąłbym zarówno kolegom moim jak i w ogóle zajmującym się pierwiastkowym kształceniem, wskazać zasady i sposoby, jakich używam przy uczeniu dzieci.

Przedewszystkiem nadmienić mi tu wypada, że każdy nauczyciel elementarny, jeżeli chce w całem znaczeniu odpowiedzieć swemu powołaniu, winien posiadać następujące warunki: 1) sam znać rzecz dokładnie; 2) umieć nauczać i 3) być sumiennym człowiekiem. Nie posiadający tych warunków, nigdy zadaniu swemu odpowiedzieć nie może.

Najgłówniejszem zadaniem nauczyciela, jest rozwijać władze umysłowe dzieci, a przez to samo uczyć je myśleć, i jeżeli dzieci na tę drogę wprowadzi, ma już materyał przygotowany, z którego, co zechce, wyrabiać może. Należy przeto przy każdej okoliczności opowiadać dzieciom o tem wszystkiem, co tylko umysł ich dziecinny pojmować jest zdolny; jak np. o ziemi, morzu, podróżach, zwierzętach, różnych wynalazkach, maszynach, kolejach, telegrafach, zjawiskach atmosferycznych, i t. p. Winien nadto wyprowadzić je z błędu, aby nie myślały np. że kiedy grzmi, to Pan Bóg jeździ po niebie, a gdy się błyska, to niebo się otwiera i t. p. Dzieci z chciwością słuchają wszelkich tego rodzaju opowiadań, bo te wprost trafiają do ich najżywiej w tym właśnie wieku rozwijającej się wyobraźni. Gra w arcaby a więcej jeszcze w szachy, bardzo dużo wpływa na rozwinięcie władzy myślenia; nie uważałbym przeto za niedorzeczność obznajmiać dzieci starsze z podobną grą i dozwalać im w czasie wolnym od nauki grać w takową.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, że im kto dłużej pracuje w danym zawodzie, a całą duszą jest w nim zamiłowanym, tem więcej nabiera wprawy i doświadczenia. Nasuwają mu się same bowiem przez się środki, za pomocą których wykonywa z większą łatwością i trafnością swoje czynności, w rezultacie których tworzy pewną metodę, czyli systemat.

Poznawanie liter i czytanie.

Nauka dla małych mianowicie dzieci, o tyle jest dostępniejszą, o ile jest uzmysłowioną. Dla tego też, zanim przystąpi się z dziećmi do poznawania liter, starać się potrzeba przedewszystkiem, przekonać je dostatecznie, że każda litera inny ma kształt, jedna do drugiej nie jest podobna, a niektóre z nich mają mniej więcej podobieństwa do przedmiotów znanych. Np. **A** do krokwi, **C G** do duhi (służącej do zaprzęgu konia), **H** do drabiny, **S** do siekacza, **Y** do wideł, **I** do laski, **O** do obręczy, **P T** do młotka, małe **g** do okularów.

Prócz tego z obwarzanka składam niektóre litery, i tak: obwarzanek cały tworzy literę **O**, kraję go na pół; połowa tego wyobraża literę **C**, dwie połowy odwrotnie do siebie obrócone

literę **X**, też połowy końcami do siebie odwrotnie obrócone literę **S**. Przy odpowiedniej długości drewienka można składać litery **B, D, P**. Najprzód sam składam takie litery, każę dzieciom szukać podobieństwa do nich w alfabecie; a następnie samo dziecko składa litery, nazywa je i porównywa kształt ich z drukowanemi. Ten sposób udaje się zwykle najlepiej. Najsłabszych pojęć dziecko z łatwością jednak nauczyło się liter; zwłaszcza gdy jeszcze po dobrem składaniu, oddaje mu się użyty za zmysłowy przykład obwarzanek.

Przechodząc do poznawania liter mniejszych, należy kazać dzieciom wynajdywać podobieństwo liter mniejszych do większych, a które to litery bez uczenia się ich z osobna, łatwo już poznają. Ważną jest rzeczą, aby dzieci dobrze i gruntownie poznały litery i aby takowe, za wskazaniem pręcikiem na zawieszonej przed niemi tablicy, razem wymawiały głośno i krótko; najprzód z alfabetu, a następnie ze środka tablicy lub książki, bo to jest pewnem, że tej samej litery, którą znają w alfabecie, nie poznają w innem miejscu. Po dokładnem nauczeniu dzieci liter, nie przystępuję odrazu do ich składania, czyli syllabizowania, lecz poprzednio zwracam ich uwagę, że w książce po dwie litery oddzielnie są obok siebie położone jak np. **ba, ca, de** i t. d. Następnie po trzy, cztery i więcej liter. Każę dzieciom bez składania wymawiać każdą z osobna, zapytując się, która jest pierwsza, a która druga litera; następnie w połączeniu więcej liter, robię pytania wyrywkowo; która jest i jak się nazywa 1-a, 3-a, 4-a, 2-a litera, rozumi się w każdej z osobna syllabie. Tu już dziecko koniecznie musi myśleć i zastanawiać się, a stosownie do zapytania wymawia każdą literę głośno, krótko i z pewnością siebie. Po wprawnem już poznawaniu i dobrem wymawianiu liter, składających syllaby, objaśniam, że dwie litery oddzielnie przy sobie położone, składają syllabę: i tak z liter **b, a,** składa się **ba**—**g, i, gi.** Dalej z trzech liter **d, n, o,** złoży się syllaba **dno**. Tu już dzieciom każę z wymawianiem liter składać syllaby, czyli po prostu syllabizować, i pewny jestem, że nie machinalnie lub na pamięć, ale ze świadomością wymawiają litery i składają z nich syllaby. Jednakże dla lepszego jeszcze przekonania się, czy dzieci zupełnie dobrze rozumieją składanie syllab, robię im pytania: np. jeżeli w syllabie **ba**, na końcu zamiast **a**, będzie **o, e, i, u**, lub na początku **a, e, i,** i t. p. jak się te syllaby wymówią? Następnie przy składaniu różnych syllab, ciągle też same pytania należy uczniom zadawać. Gdy dostatecznie przekonam się, że dzieci są już w stanie składać odrazu syllaby bez wymawiania poprzednio pojedynczo liter, nie tracąc przeto czasu nad mniej potrzebnem syllabizowaniem, przystępuję wprost do czytania, naturalnie najprzód wyrazów jedno, a następnie dwóch, trzech i więcej syllabowych. W wyrazach dwóch i więcej syllabowych, robię takież pytania jak i w wymawianiu liter; z ilu ten, a z ilu ten wyraz składa się syllab? wymówmi syllabę 3-ą, 1 ą, 4-ą, 2-ą. To znowu zapytuję z ilu ta, a z ilu ta syllaba składa się liter? Następnie uczniowie z kolei wymawiają syllaby, odznaczają takowe skazówką a w końcu cały wyraz. Tak ciągle postępując, dziecko w krótkim czasie prawie bez syllabizowania, a tylko rozumowaniem nauczy się czytać. Niekiedy trudniejsze wyrazy, każę syllabizować, ale nieprędzej dopiero, aż po przeczytaniu takowych, aby tym sposobem sprawdzić, że tak jest rzeczywiście.

Ażeby dzieci czytając, wymawiały krótko, bez przeciągania, głosem czystym i wyraźnym, każę z wymówieniem każdej czy to litery, syllaby lub wyrazu, uderzać ręką w ławkę. Rzecz naturalna, że jeżeli dziecko uderza ręką prędko czyli krótko, to musi koniecznie i krótko wymawiać, przeciwnie, uderzając ręką zwolna z przeciągiem, wymawia syllaby z przeciągiem; uderzając ręką mocniej, wymawia mocniej: słowem jest to gestykulacya, przy której każde wymówienie musi się koniecznie zgadzać z taktem i uderzeniem ręki.

Na zasadzie takiej to gestykulacyi, pokazuję dzieciom pręcikiem na tablicy literę, syllabę lub wyraz; wznoszę pręcik w górę, a jednocześnie i dzieci podnoszą ręce; spuszczam pręcik na dół, i dzieci razem spuszczają ręce, wymawiając to, co jest im wskazane. Tu dzieci muszą być koniecznie wszystkie razem czynne i nadzwyczaj uważne: dla nauczyciela zaś, większa lub mniejsza ilość uczniów, nie robi prawie żadnej różnicy, byleby tylko wszyscy uczący się, byli pomieszczeni w jednym oddziale. Tablice abecadłowe, są tu najdogodniejsze, które zawieszam tak, aby wszystkie dzieci tego oddziału, dobrze je widzieć mogły. Wszystkie dzieci w jednakowe elementarze zaopatrzone być winne, aby przy czytaniu, że tak powiem na komendę, razem lub pojedyńczo, każde skazówką na swym elementarzu odznaczało litery, syllaby, wyrazy, i aby tym sposobem ciągle czynne i uważne być mogły.

W czytaniu np. wyrazu go-spo-dar-stwo, zapytuję, dokąd się składa syllaba go? już wszystkie dzieci trzymają skazówki na właściwem miejscu: dokąd spo? dar? stwo?—za każdem wymówieniem przez nauczyciela syllaby,dzieci toż samo razem i głośno wymawiają, stawiając, skazówki przykońcu każdej wymówionej syllaby, co łatwo jednocześnie u wszystkich widzieć można. Jeden ze starszych uczniów może tu być do pomocy użytym dla pilnowania i przestrzegania, aby każde z dzieci dobrze odznaczało syllaby, i na właściwych miejscach stawiało skazówkę. W drugim nawet oddziale, oprócz pojedyńczego, odbywać należy z dziećmi często czytanie razem podług taktu i wciąż z uderzeniem ręki. Nasuwa się tutaj i ta uwaga, że dzieci, czytając w takt razem, śmielej i głośniej wymawiają wyrazy, aniżeli czytając każde z osobna; przez co nabierają wprawy w czytaniu głośnem, a zarazem wykształcają w sobie organ głosu.

Ułożyłem także loteryjkę abecadłową dla dzieci; jest to zabawka, a jednakże dzieci, bawiąc się nią, bardzo chętnie i z łatwością poznają litery i nabierają już nieco wprawy w czytaniu bez syllabizowania. Wszakże „najciężej zacząć pójdzie się dalej“. Nie powiem jednakże aby loteryjka ta mogła być zastosowaną wszędzie gdzie jest dużo dzieci; lecz może być ona użyteczną w domu do bawienia się z jednem lub z kilkorgiem dzieci.

Dla wiadomości i lepszego zrozumienia, przedstawiam tu pierwsze dwie tabliczki z rzeczonej loteryjki z objaśnieniem gry w takową:

LOTERYJKA ABECADŁOWA
dla
małych dzieci
czyli łatwy i praktyczny sposób poznawania i składania liter.

A	M	L	O	P
Ą	W	Ł	T	S
D	K	N	Ń	Ś

B	R	E	C	J
I	U	Ę	Ć	F
H	G	Y	X	Z

Objaśnienie gry. Gra w loteryjkę abecadłową jest zupełnie takaż sama jak i w liczbową: z tą tylko różnicą, że tam wyciągają i nakrywają się cyfry, a tu litery i wyrazy. Pierwsza gra czyli nauka, odbywa się na ciągnieniu liter wielkich, należących razem do dwóch pierwszych tabliczek: litery takowe do ciągnienia należy oddzielnie włożyć do woreczka. Po nauczeniu się dziecka liter wielnich i wprawnem ich nakrywaniu, przystępuje się w tenże sposób do ciągnienia liter małych; następnie wyrazów jedno, dwu, a w końcu i trzy syllabowych. Dla ułatwienia dziecku poznania liter, radziłbym pierwiastkowo ograniczyć grę na wyciąganiu liter należących tylko do pierwszego wiersza jednej i drugiej tabliczki; następnie do dwóch wierszy a w końcu i cały alfabet. Tak samo postępować można i co do wyrazów. Gra tem się kończy kto pierwej nakryje wiersz, dwa, lub całą tabliczkę; a to stosownie do postępu i zdolności dziecka. Dziecko nie wiedząc o tem że się uczy, chętnie i z zajęciem bawi się loteryjką; prócz tego układa z liter wyrazy króciutkie, np. kot, pan i t. p. Wreszcie i starszym osobom prędzej jak z elementarza, przyjdzie chęć pobawić się z dzieckiem, i z przyjemnością zrezygnować na przegranie cukierek, pierniczek lub orzeszek: bo rozumie się, że dziecko zawsze tu pozostanie przy wygranej.

Pisanie.

W każdej szkole jest zwykle tablica drewniana na stalugach, na takowej więc porobiłem ostrym gwoździem rowki o 4 cale równo od siebie odległe, które gdy zamażą się białą kredą, na zawsze widoczne pozostaną. Na poliniowanej w ten sposób tablicy, dzieci pierwszego prawie dnia w którym poznają li-

tery, kreśląc w linijkach laski, kółka, robią z nich litery. Z lasek tworzą się litery: **l, ł, t, m**, i inne; z kółek: **o, a, d, g**. Dzieci przeto bawiąc się niejako przy tablicy, w krótkim czasie bez mozołu nauczyciela, nauczą się z łatwością pisać łatwiejszych liter, a z nich krótkich wyrazów, jako też i cyfr. Miło jest patrzeć kiedy dzieci oblegną tablicę pisząc i emulując wszystkie razem, i gdy każde z nich wysila się na napisanie kształtniejszej laski, kółka, litery, wyrazu lub cyfry. Korzyści z takiej zabawy są: 1) dzieci nie nudzą się nad jednostajnem poznawaniem i składaniem liter; 2) każda litera przez dziecko napisana pozostaje już na zawsze w jego pamięci, w dalszym zaś postępie takiegoż pisania, nabiera łatwości w czytaniu; 3) dzieci przywykają do ortograficznego pisania, gdyż lepiej już piszącym, zadaje się codziennie po kilka wyrazów z elementarza do napisania ich na pamięć. Nauczycielowi taka nauka nie robi żadnych trudności. Tablicę poliniowaną uważam za nieodzowną w każdej szkole, starszym uczniom dogodniej jest także pisać po linijkach „za dyktandem."

Najważniejszą zasadą do dobrego pisania jest siedzenie przy pisaniu, a więcej jeszcze dobre trzymanie pióra. Wszakżeż, zwracając uwagę na piszących, widzimy, że prawie każdy inaczej przy pisaniu siedzi, inaczej trzyma przed sobą papier i pióro, a to najwięcej przyczynia się do rozmaitości charakterów pisma. Podług mnie, przy pisaniu należy być obróconym lewym bokiem i na wspartej ręce podtrzymywać cały ciężar ciała tak, aby ręka prawa do pisania była zupełnie wolną i swobodną. Pióro trzymając w trzech pierwszych palcach, powinno się wspierać na brzuszcu trzeciego palca przy samym paznogciu. Ażeby dzieci nabrały ruchu w palcach, powinny czas jakiś suchem piórem stawiać na papierze niby laski, bacząc na to, aby ręka cała była nieruchoma i tylko pierwsze trzy palce zginały się w pierwszych stawach. Prócz tego powinny dzieci w prostej linii od siebie dobrze wyprężyć rękę, a trzymając w niej podług zasady pióro robić niem w powietrzu jakoby laski ale tak, aby ręka cała do samych palców, była zupełnie nieruchoma. Kto zechce poprobować takiej gimnastyki palcowej, przekona się, że nie jest to tak bardzo łatwem. Kajet musi uczeń trzymać przed sobą prosto. Po takich ćwiczeniach, dzieci mogą wprost na kajetach atramentem już pisać proste laski. Nauka ta odbywa się także razem. Komenderuję: postawić na linii pióro! Dzieci stawiają pióra. Tu, za jednym rzutem oka widzę, czy każde z dzieci postawiło na samej linii i dobrze pióro: robię tu zaraz uwagi i poprawki. Jeżeli bowiem które z dzieci źle i nie na samej linii postawi pióro, to już napewno nie pociągnie nim dobrze, i laska pójdzie krzywo i nierówno. Dalej komenderuję: pociągnąć piórem! Dzieci razem pociągają. I tak dalej, bez przerwy kontynuuje się pisanie; a że przy pisaniu prostych lasek najłatwiej ułożyć można rękę, najwięcej przeto poświęcam czasu na pisanie takowych. Jeżeli dziecko podług wszelkich zasad dobrą zrobi laskę, można liczyć z pewnością, że już i pisać dobrze będzie. Ułożyć rękę do pisania jest zadaniem najtrudniejszem, i dlatego też niestety rzadko który z uczących, chce sobie zadawać tę mozolną pracę. Po laskach prostych piszą laski łamane, półkółka i kółka; następnie te litery, które składają się z lasek i kółek — trudniejsze litery pozostawiam na koniec. Gdy dzieci nabiorą wprawy w pisaniu łatwiejszych liter, podpisuję im na tablicy wyraz najłatwiejszy, np. **noc**. Ten wyraz piszą na kajetach całą godzinę; na następną lekcyę podpisuję inny wyraz, np. **moc**; dalej, np. **anna, wino, noga** i t. p. Tak postępując, podpisuję wyrazy, w które wchodzą już trudniejsze litery: **s, z, k, f, rz**. Po napisaniu wyrazów, w których znajdowały się już wszystkie litery, dzieci piszą kaligrafię ze zdań krótkich; zdania takowe podpisuję dla całego oddziału na poliniowanej tablicy. Pisanie dla początkujących dzieci odrazu ze wzorów w tem jest niedogodne, że dzieci trafiają na litery trudniejsze i w trudniejszych połączeniach; pisząc zaś z podpisu, stawiają literę pod literą, nie zważając bynajmniej na równą odległość liter; a wreszcie mając liczną szkołę, niepodobna każdemu uczniowi z osobna podpisywać kajet. Wzory więc kaligraficzne i nowa mechaniczna metoda pisania, dla piszących już nieco lepiej, mogą być z większą korzyścią używane. Za największy błąd poczytuję, jeżeli dzieci po laskach i kółkach piszą odrazu z kolei cały alfabet, a co gorsza liter wielkich; bo wszakżeż i małe litery nie wszystkie są jednakowo łatwe do pisania, a wielkie są nierównie trudniejsze od małych. Dlatego też litery wielkie piszą po wprawnem już pisaniu kaligrafii z liter małych. Pisanie podług metody mechanicznej po kropkach, ołówku lub bladych literach uważam za niestosowne, bezkorzystne, a może i szkodliwe; wszak w tej metodzie o nic więcej nie idzie, jak tylko o zaczernienie bladych liter, chociażby takowe i chińskie były. Własne miałem i to niejednokrotne przekonanie, że dziecko po zapisaniu, a raczej zaczernieniu liter na wielu już kajetach tak zwanej nowej metody pisania, nie umiało ani jednej litery napisać na czystym papierze a cóż dopiero myśleć o napisaniu i złożeniu całego wyrazu; mogę jeszcze i to dodać, że w pisaniu takowem, ręka nietylko nie samodzielności, ale przeciwnie pewnego drżenia nabiera.

Dla wprawienia dzieci z oddziału trzeciego w ortograficzne pisanie, zadaję im każdodziennie do napisania na pamięć, z maksym pisma św. najprzód te zdania, które składają się z jednego tylko wiersza, np: Nr 1. „Bez wiary niepodobna jest podobać się Bogu." Nr 12 „Początek mądrości bojaźń Pańska i t. d." Gdy przejdą wszystkie numery składające się z jednego wiersza, piszą od początku te numery, które składają się już z dwóch, a przeszedłszy te, z trzech i więcej wierszy, a przypuszczając, że wszystkich numerów jest 150, na bardzo więc długo takowe wystarczyć mogą. Jeden ze starszych uczniów notuje każdodziennie z książki do napisania numer na tablicy, a następnego dnia rano, każdy, bez książki i dyktanda, przyszedłszy do szkoły przed rozpoczęciem jeszcze lekcyi, nie czekając wywołania, pisze go na poliniowanej tablicy bez żadnej omyłki ortograficznej.

Dzieci tu emulując z sobą i pisząc ciągle z pamięci krótkie zdania, przez własną pracę, a bez mozołu nauczyciela, dużo wprawiają się praktycznie w ortograficzne pisanie.

Dzieci oddziału drugiego tak siędzą, aby widzieć i czytać mogły co starsi piszą, a tym sposobem jednocześnie dwa oddziały są zajęte, — dzieci młodsze przywykają przytem do czytania rękopismu.

Rachunki.

Jak już powiedziałem, każda nauka uzmysłowiona, staje się dla dzieci łatwiejszą do pojęcia i nauczenia; ale głównie w nauce rachunków uzmysłowienie to zdaje się być najpotrzebniejszem; wszakżeż dziecko o tyle tylko może robić postęp w tej nauce, o ile jest w stanie dobrze rzecz pojąć i zrozumieć. Z początkującemi tedy dziećmi odbywam liczenie na przedmiotach, pod ich zmysły podpadających; następnie zadaję, aby każde z dzieci na pierwszy raz przyniosło po 5 kamyków, następnie po 10, 20, 30 i t. d., aż do sta i więcej. Zanim dziecko przyniesie oznaczoną ilość kamyków, lub ziarnek grochu, ileż to razy w domu naliczyć się musi, aby nie było ni mniej ni więcej nad oznaczoną ilość. Przy wydawaniu takiej lekcyi każę dzieciom doliczać kamyki, biorąc najprzód po jednemu, a w miarę zdolności i postępu, razem po 2, 3 i więcej kamyków. Odliczanie odbywam w podobnyż sposób: odliczają od 100 lub 1000, biorąc po jednym kamyku, następnie po 2, 3 i więcej razem, aż do ostatniego kamyka.

Dzieci oddziału drugiego piszą na poliniowanej tablicy, dodając ciągle po 3, to jest 3, 6, 9, 12, 15 i t. d, następnie po 4, 5, 6, 7, 8, 9; tak samo i odejmują od 100, 1000 i t. p. Przy pisaniu takich liczb, cały oddział musi być koniecznie czynny i bezprzestannie uważny, każdy bowiem z zapytanych uczniów powinien wiedzieć jaka już napisana, a jaka ma następować liczba. Po każdem zapisaniu tablicy odbywa się czytanie tychże liczb w ten sposób: uczeń pierwszy czyta 3 (jeżeli dodawanie odbywało się po 3) następny nie czekając zapytania czyta 6, następny 9 i t. d., ostatni kończy, pierwszy już dalej wymawia, i tak w kółko idzie, bez przerwy, dopóki nie przeczytają całej tablicy. Gdy dzieci wprawią się w czytanie, bardzo szybko takowe się odbywa. Umysł tu wszystkich dzieci jest nadzwyczaj czynny i cały oddział jest w nieustającym ruchu. Głównie tu idzie o to, aby wszystkie dzieci w szkole, razem były czynne i ciągle czemś zajęte.

Pisania liczb, w które wchodzą już tysiące i miliony, uczę dzieci w taki sposób: dyktuję uczniowi np. 15; uczeń nie wiedząc o tem, czy co dalej ma być dyktowanem, pisze na tablicy tylko 15, a za wymówieniem wyrazu tysięcy, uczeń w tej chwili robi przecinek. Teraz zwracam jego uwagę, że jeżeli te 15 ma znaczyć tysięcy, to od tego przecinka ma być koniecznie do końca zapełnione 3 miejsca t. j. na jedności, dziesiątki i sta; a dopiero dyktuję dalej np. 36. Tu już uczeń wiedząc, że po przecinku zapełnione mają być trzy miejsca, musi myśleć, gdzieby postawić to zero, aby trzecie miejsce było zapełnione; gdy postawi go na końcu, będzie 360, postawi go

w środku, będzie 306; przyjdzie więc sam do tego przekonania, że zero, jako nic nie znaczące musi stać przed 036. Tak samo postępuję i w pisaniu milionów. Dyktuję np. 2, uczeń pisze 2, wymawiam miliony, uczeń robi przecinek; po zrobieniu przecinka, dyktuję np. 7 tysięcy. Uczeń już wiedząc, że do wyrazu tysięcy ma być koniecznie zapełnione trzy miejsca, musi koniecznie gdzieś dwa zera postawić i napewno czterech, ani dwóch miejsc nie zapełni. Po zrobieniu na wyraz tysięcy przecinka, dyktuję resztę jak w pierwszym przykładzie. Ciągle dzieciom powtarzam, że od przecinka do przecinka, jako też od przecinka do końca, musi koniecznie zapełnione być po trzy miejsca, a dzieci, gruntownie to zrozumiawszy i spamiętawszy, prawie odrazu nauczą się pisać, choćby największych liczb.

Działania arytmetyczne odbywam z dziećmi także razem. Napisane na tablicy liczby od dodawania, dodają w taki sposób: wskazuję pręcikiem w kolumnie jedności i mówię np. 5 i 8, podnoszę pręcik w górę i dzieci podnoszą ręce w górę: tu daję mniej więcej czasu do myślenia; poczem spuszczam pręcik i dzieci razem spuszczają ręce wymawiają 13, dalej mówię 13 i 9; i znowu wznoszę pręcik w górę i dzieci ręce w górę, za spuszczeniem pręcika i rąk wymawiają 22 i t. d. aż do ukończenia całego działania. Następne działania podług takiej samej komendy odbywają się. Dziecko które spóźniło się z wymówieniem, dowodzi że albo nie liczyło, lub też nie pojmuje i wymawia za drugiemi.

W rozwiązywaniu zadań arytmetycznych, co tylko się da, rachują dzieci na pamięć.

Za ogólną tedy metodę w uczeniu dzieci uważam, aby te razem poznawały litery, składały, czytały, pisały, liczyły i w ogólności całą naukę odbywały razem. Tym sposobem wszystkie dzieci są ciągle czynne, a nauczyciel nie ponosi tyle mozołu, jak gdyby z każdym uczniem z osobna zajmować się musiał.

A teraz jeszcze mała uwaga o uczeniu się na pamięć. Nikt zaprzeczyć nie może, że wyraz lub zdanie jakie, powtórzone raz po razu chociażby i największą ilość razy, nie pozostanie w pamięci tak trwale, jak tenże wyraz lub zdanie powtórzone tylko po razu ale przez pewną ilość dni, dla tego też uczenie się na pamięć, jest najpraktyczniejsze przez ciągłe czytanie przeszłych choćby niedokładnie nauczonych się lekcyj.

Nauczycielki przy uczeniu swych elewek jakiego języka, posiłkują się zwykle tak zwaną metodą ułożoną w rozmowach; radziłbym aby uczennica, przy wydawaniu takiej lekcyi przeczytała poprzednie aż niech będzie np. do pięciu kartek. Gdy przybywa szósta nowa kartka, może wówczas pierwszą z brzega kartkę opuścić; i tak następnie aby zawsze do przeczytania było pięć kartek. Ileż to razy przeczytaną będzie nowo przybyła kartka, zanim przyjdzie kolej do jej opuszczenia. Na przeczytanie tych pięciu kartek zwłaszcza umiejąc ich już na pamięć najwyżej potrzeba 10 minut czasu.

Czytanie takie powinno odbywać się dosyć raz na dzień ale regularnie i to koniecznie głośno, wyraźnie, a zawsze z książki, choćby uczennica umiała już wszystko na pamięć. Rezultaty z takowego czytania są: uczeń niezapomina, choćby niezupełnie poprzednio nauczonych się lekcyj, a tem samem nie ma już potrzeby uczyć się tychże z powtórzeniem. Wiadomo że każde dziecko dla tego tylko uczy się na pamięć zadanej mu lekcyi, aby ją wydało przed swoim nauczycielem lub nauczycielką; a skoro ją wyda, to znaczy że lekcya ta już go nic nie obchodzi i zapomina o niej.

Przysłowie mówi: „przy jednym ogniu można dwie pieczenie razem upiec.“ Otóż chcę tu przy mojej metodzie zrobić kilka uwag; a mianowicie co do sposobu doraźnego nauczenia się nut muzycznych, czytania czyli grania ich odrazu bez patrzenia się na palce i klawisze, oraz doprowadzenia uczącego się, do równego liczenia taktu.

Zwykle to się najlepiej pamięta, co jest w ciągłem użyciu; że zaś początki grania odbywają się z nut położonych na pięciu głównych liniach i dość długiego czasu potrzeba zanim uczący się dojdzie do gry, gdzie już wchodzą nuty na linijach tak dolnych jako i górnych dodanych, zbytecznym przeto jest jednocześnie uczyć i tychże nut; bo chociażby uczący się i po wielekroć razy takowych się nauczył, to nie mając ich w ciągłem użyciu napewno zapomni. Należy więc najprzód nauczyć nut, znajdujących się na linijach jeneralnych czyli głównych, nic nie mówiąc o dodanych.

Zanim przystąpię do uczenia nut, potrzeba aby uczący się gruntownie zrozumiał i nabrał wprawy w szybkiem rozróżnianiu na której lub pod którą linją każda z kolei nuta jest położona, nie oznaczając ją bynajmniej literami muzycznemi, co jest bardzo łatwo. Następnie kładę palce obudwu rąk uczącego się (gdyż palcami jednej ręki wszystkich nie dosięgnie) na 5 klawiszach należących do pięciu jeneralnych linij klucza wiolinowego, tu dopiero objaśniam go że pierwszy klawisz **e** przyciśnięty przez niego, oznacza nutę położoną na linii pierwszej, która tak samo nazywa się **e**, drugi z kolei przyciśnięty klawisz oznacza nutę **g** położoną na tejże drugiej linii i tak następne linije.

Trzymającemu tak ciągle palce na tychże klawiszach, robię pytania wyrywkowo, co jest na której linii—dotąd, aż zupełnie dobrze spamięta te 5 nut i bez namysłu na zapytania odpowiadać będzie. Trzymając tak palce na klawiszach, uczący się, sam zauważy, że pomiędzy przyciśniętemi, pozostaje wszędzie jeden klawisz wolny, łatwo więc zrozumi bez uczenia się, że klawisz ten ma oznaczać nutę położoną pod tąż samą linią; to już i sam klawisz pokaże że przed klawiszem **f** pod linią piątą jest **e**, a wyżej od tejże piątej linii jest **g**. Słowem z tych pięciu wskazanych na samych głównych liniach nut, można najwyżej w ciągu jednej lekcyi poznać wszystkie nuty mieszczące się na pięcio-liniach. Jest drugi nierównie krótszy sposób nauczenia się nut. Uczeń umiejąc na pamięć porządkiem siedm liter używanych w muzyce, bardzo łatwo dojdzie od pierwszej linii **e**, którą tu głównie zapamiętać musi, do każdej innej linii opuszczając po jednem klawiszu i postępując w górę; będzie **e**, **g**, **h**, **d**, **f**, nutę zaś położoną pod linią łatwo pozna jak już powiedziano w pierwszym przykładzie. Gdy przyjdzie kolej do poznania nut położonych na liniach górnych dodanych, odrazu uczeń takowe pojmie i dojdzie do najwyższej nuty, gdy mu się pokaże, jakim sposobem idą nuty w górę, zacząwszy od pierwszej linii dodanej; tak samo i dolne, licząc od pierwszej linii postępując na dół. Nutę **c** położoną na linii pierwszej dolnej dodanej, uczeń powinien poznać przy uczeniu się nut na pięciu liniach, gdyż nuta ta potrzebna będzie do grania cwiczeń pięcio-palcowych. Ten sam jest sposób uczenia nut klucza basowego. Tak więc uczeń nie ucząc się nut każdej oddzielnie, pozna takowe przez własne dochodzenie; a to, czego sam z własnego przekonania dojdzie, pewniej i trwalej w pamięci pozostanie.

Bezwątpienia długiego czasu potrzeba, zanim poczynający uczyć się grać, nawyknie patrzyć w nuty, nie zaś na palce lub klawisze. Aby więc uczącego się, odrazu doprowadzić do patrzenia się w nuty i brania ich ze świadomością a nie machinalnie, każę zaraz z pierwszą nutą graną ręką prawą, pokazywać na kajecie ręką lewą, i odwrotnie graną nutę ręką lewą, wskazywać tę nutę ręką prawą. Tym sposobem uczący się, przymuszony jest koniecznie patrzyć w nuty, i inaczej być nie może, bo tam się patrzy gdzie wskazuje. Po niewielu takich lekcyach, oko ucznia tak przywyknie do patrzenia się w nuty że więcej przestrzegać go o to nie ma potrzeby. Mała ta próbka przekonać może o prawdziwości rezultatu.

Takt i akcent gry jest całą duszą muzyki; i to jest właśnie co się nazywa—słuch, poczucie i dar muzyczny. Można na pewno powiedzieć, że na stu uczących się grać, dziewiędziesięciu dziewięciu nie ma talentu, a jeden dopiero znajdzie się, który ten dar posiada; a jednakże bez względu na to, każdy prawie uczy się grać—i dobrze to jest, ale... dla uczących; bo gdyby szukać samych talentów, z czegożby żyło tylu nauczycieli i nauczycielek muzyki?

Doprowadzić uczącego do głośnego i równego liczenia taktu i odznaczania synkop, jest jedno z najtrudniejszych zadań: bo chociaż ten z przymusem liczy takt, to liczy go po cichu i nie równo. Otóż, aby uczącego przymusić koniecznie do równego taktu, radzę aby za każdem głośnem wymówieniem 1, 2, 3, 4, uderzać nogą w podłogę: będzie to także pewną gestykulacyą, gdyż jednoczesne wymówienie, uderzenie w klawisze ręką i w podłogę nogą, w połączeniu stanowi niejako orkiestrę, a tem samem takt równo wyjść musi. Gdy uczeń wprawi się w podobny sposób wybijać takt na całej, czyli cztero-ćwierciowej nucie, następnie na pół i ćwierciowych nutach, będzie już odznaczał dwójki, trójki, czwórki; obudzi się w nim poczucie taktu i nauka muzyki pójdzie dalej, a brak talentu choć w małej części wynagrodzony być może.

W końcu także za nieodzowne uważam, aby uczący się grać na fortepianie, poznał wewnętrzną mechanikę tegoż instrumentu; a mianowicie skąd pochodzi, że za przyciśnieniem pedału na forte, echo staje się głośniejszem,

a przeciwnie na piano, głos staje się słabszym; także uderzywszy palcem w klawisz i trzymając go przyciśniętym, ton długo się przeciąga, a zaś po oderwaniu palca tenże ton niknie. Kilka minut czasu wystarczy na objaśnienie rzeczonej mechaniki, a grający znając takową, wiedzieć będzie jak i kiedy ma jej używać.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile w czynie.

XXV.

W dalszym ciągu naszego sprawozdawczego rysu co do kwestyi stowarzyszenia pracy i wzajemnej pomocy dla szwaczek, donosimy czytelnikom, iż projektowany konkurs na napisanie ustawy dla takiegoż stowarzyszenia, wyznaczony został na dzień 1-y lipca r. b., jak o tem donosi „Kur. War.“ Zrobilibyśmy uwagę, że termin ten trochę może za krótki, i wypadałoby przedłużyć go przynajmniej o dwa tygodnie... Wprawdzie o tym konkursie mówi się od miesiąca, ale Kuryer Warszawski przyobiecał podać w szpaltach swoich pewne zasadnicze punkty, na jakich ustawa powinna się opierać aby pewną drogą zamierzała do właściwego celu— na punkta więc te jako na stanowczą wskazówkę, której się autorowie w opracowaniach swych trzymać powinni, czekać było potrzeba. Ponieważ punkta owe Kuryer Warszawski podał do wiadomości publicznej dopiero dnia 14 b. m., uważamy więc termin 1 lipca do składania prac za zawczesny.

Prace konkursowe nadsyłane być mają do do Redakcyi „Kuryera Warszawskiego“ w opieczętowanych kopertach, opatrzonych dewizą taką jak na rękopiśmie, a oprócz tego, dołączoną ma być druga koperta, zawierajaca w sobie nazwisko autora i opatrzona tąż samą, co na rękopiśmie dewizą.

Sędziami konkursowemi będą panie: Faleńska Marya, Józefowicz Marya, Lilpop Joanna, hr. Łubieńska Klementyna, oraz Wrotnowska Gabryela; panowie zaś: Jeleński Jan, Szymanowski Wacław i Wierzchlejski Roman.

Redakcya „Kuryera Warszawskiego“ wypłacić ma po zamknięciu konkursu nagrodę rs. 100 autorowi najlepszej, zdaniem komissyi, ustawy.

Dołączone do projektów nienagrodzonych koperty z nazwiskami, mają być niszczone.

Nie widzimy powodu, dla którego koperty te nie miałyby być zwracane autorom w całości i nietykalności. Dla czego komissya ma podejmować fatygę, którą sami autorowie bardzo łatwo uskutecznią?...

Pierwszą charakterystyczną zasadą każdego konkursu jest szanowanie incognita autorów, a to nie może mieć miejsca w powyższym wypadku. Chociażby bowiem członkowie komissyi nie pokusili się o ciekawość taką, narażą się na podejrzenia. Zresztą tak rękopism jak i koperta z nazwiskiem, jest własnością autora; nikt więc prócz niego nie ma prawa rozporządzać tą własnością.

Jeżeli żadna z nadesłanych prac nie będzie uznaną przez komissyę za godną nagrody, wtedy fundusz rs. 100, obróconym być ma na rzecz projektowanego stowarzyszenia. Tyle co do warunków konkursu. Co zaś do kierunku samej ustawy, określonego punktacyą podaną w „Kuryerze Warszawskim,“ to dla wiadomości czytelników naszych zamieszczamy takową w dosłownem brzmieniu jak następuje:

„1) „Stowarzyszenie pracy i wzajemnej pomocy szwaczek warszawskich“ zawiązuje się w celu udzielenia wsparć pieniężnych i pożyczek, oraz składania drobnych oszczędności, niemniej w celu wyszukiwania i uprzystępniania pracy przez zakładanie np. na wielką skalę szwalni i w ogóle w celu możliwego tym sposobem polepszenia bytu wszystkich do kategoryi szwaczek zaliczających się pracownic.

2) Członkowie stowarzyszenia, których liczba jest nieograniczoną dzielą się:

a) na członków rzeczywistych,

b) na członków honorowych.

3) Członkami rzeczywistemi mogą być kobiety zamieszkałe w Warszawie, a wyłącznie z pracy igłą utrzymujące się: mianowicie zaś pracujące w magazynach strojów, w pracowniach sukien, szwalniach, niemniej przyjmujące robotę obstalunkową w domu, oraz chodzące na robotę do domów prywatnych.

4) Każda z wymienionych wyżej pracownic chcąc zostać rzeczywistym członkiem stowarzyszenia wnosi:

a) jednorazowo tytułem wpisowego rs. 1,

b) miesięcznie po kop. 15.

Nadto niezależne od wkładów obowiązkowych, każda z uczestniczek składać może, poczynając od kop. 10 kwoty pieniężne, tytułem *oszczędności*, z których uzbierana summa na każde zażądanie zwróconą jej będzie.

5) Członkami honorowymi mogą być osoby wszelkiego stanu bez różnicy płci i wyznania, jeżeli wniosą do kassy stowarzyszenia:

a) albo jednorazowo rs. 25,

b) albo wnosić będą rocznie (w ratach półrocznych) po rs. 6,

c) albo też jeżeli oddadzą stowarzyszeniu szczególniejsze usługi.

6) Dla pomnożenia swych funduszów, stowarzyszenie urządzać będzie koncerta, teatra amatorskie, odczyty i t p. jak również przyjmować wszelkie ofiary dobrowolne i zapisy prywatne.

7 Utworzony w ten sposób kapitał stowarzyszenia, dzielić się będzie na:

a) zapasowy,

b) obrotowy.

8) Kapitał zapasowy powstaje z jednorazowych wniosków Członków, oraz dobrowolnych ofiar i tylko w wypadkach nadzwyczajnych może być użytym sposobem pożyczki dla zasilenia funduszu obrotowego.

Fundusz zaś ten ostatni, t. j. obrotowy, tworzy się z wnoszonych przez wszystkich Członków składek peryodycznych: procentów od kapitału zapasowego, oraz innych summ i używa się na udzielanie zapomóg, pożyczek i w ogóle na zaspokojenie bieżących wydatków stowarzyszenia.

9. Zapomogi pieniężne udzielają się odpowiednio do funduszów stowarzyszenia, głównie na wypadek choroby albo kalectwa stowarzyszonej pracownicy lub wrazie śmierci którego z członków jej najbliższej rodziny, jak: dziecka, matki, ojca, brata lub siostry rodzonych lub też z powodu starości czyniącej uczestniczkę nie zdolną do dalszej pracy.

Pożyczki zaś wysokości rs 30 udzielać się będą na 6% za poręczeniem: albo dwóch innych stowarzyszonych nie będących równocześnie dłużniczkami Stowarzyszenia, albo też Zakładu w którym stowarzyszona żądająca pożyczki, stale pracuje.

10. Wnoszone do kassy Stowarzyszenia summy pieniężne tytułem składek peryodycznych, uledz mogą zwrotowi tylko na wypadek zwinięcia lub rozwiązania Stowarzyszenia, przyczem cały fundusz Towarzystwa dostaje się w równych działach, Członkom rzeczywistym.

Takie są mniej więcej, ramy w których przyszły projekt Ustawy ma się zamknąć i takie zasady główne, na których instytucya sama ma się wesprzeć i istnieć.

Określenie zasad szczegółowych, jak np. organizacyi, oraz atrybucyi Zarządu, formy zapisywania się na Członków Zebrań ogólnych, dalej określenie niemniej bliższe praw i obowiązków Stowarzyszonych — i w ogóle opracowanie Ustawy szczegółowe, będzie już właśnie rzeczą tego, kto za wynoszącą rs. sto nagrodę konkursową, pracy takowej podjąć się zechce.“

* * *

Tegoroczny jarmark na wełnę, rozpoczął się dnia 15 b. m., a przedłużony został przez deputacyę jarmarczną do dnia 21 b. m.

Dowozy wełny w roku bieżącym były znacznie mniejsze od zeszłorocznych. Ceny wełny w stosunku do lat poprzednich spadły. Obniżka ta nietylko u nas się objawiła, ale także i na jarmarkach w Wrocławiu, Poznaniu i Toruniu w tych czasach także odbywanych, a szczególniej w Poznaniu.

U nas ceny wełny stawiane w tranzakcyach, były następujące:

Za wełnę średnio-cienką, płacono od 70 do 85 talarów. Za wełnę cienką od 85 do 95. Za wełnę wysoko-cienką od 95 do 110.

Obniżka więc między dzisiejszym jarmarkiem a zeszłorocznym wynosi około 5 talarów nacentnarze, lecz tylko na dwóch wyższych gatunkach, bo na niższym t. j. średnio-cienkim widzimy podwyżkę o 5 tal na centnarze.

Przyczyną obniżki jest bez zaprzeczenia stagnacya przemysłu sukienniczego w niektórych miejscowościach Cesartwa, powstała w skutek stagnacyi ogólno-finansowej. To wpłynęło i na innych gdzieindziej producentów sukna, a stąd odbiło się w rynkach jarmarcznych na wełnę.

Wydajność wełny, rzec można, zmniejszyła się w roku bieżącym o 3% od lat poprzednich.

Wpłynęły na to: niekorzystne warunki akli-

*

matyczne w zimie, oraz ogólny brak paszy w upłynionym czasie, dodać jeszcze do tego wypada, że mycie tegorocznej wełny było lepsze jak lat poprzednich.

Dowozy tryków były dość znaczne i pokup dosyć duży.

* * *

Podajemy poniżej wykazik wakujących posad oraz kandydatów na takowe, ogłoszony przez Biuro dla szukających pracy, mieszczące się w Warszawie przy ulicy Nowo-Zielnej Nr. 1064 B.

DZIAŁ	Posady wakujące	Kandydaci
1) Techniczny	26	96
w tej liczbie inżynierów cywilnych	—	—
2) Handlowy	9	112
3) Rolny	76	218
w tej liczbie rządców	12	133
ekonomów i pisarzy	39	41
ogrodników	15	8
4) Naukowy	24	37
w tej liczbie nauczycieli prywatnych	21	15
5) Ogólny	10	226

Biuro zaznacza brak kandydatów na następujące posady:

W dziale 1: Technika do postawienia pieca do wypalania wapna na torfie, technika do urządzdnia huty szklannej opalanej gazami torfowymi, korespodenta technicznego w języku rossyjskim i francuzkim i nadmłynarza.

NB. Biuro uprasza PP. pracodawców, którzy obsadzili już zapisane przez nich w biurze posady, jako też panów pracowników którzy znaleźli zajęcie bez pośrednictwa biura, o nadesłanie stosownego zawiadomienia.

* * *

Biedne te tanie kuchnie, biedne, chociaż poczciwe. Trzymają się jak mogą, walczą z przeciwnościami ażeby nie upaść, lecz wysilenie wkrótce przejdzie granicę możności, jeśli nie otrzymają posiłków.

Tania kuchnia! co to za piękna, co za pożyteczna instytucyjka. Ileż to biednych i niezamożnych żołądków nakarmi za 22 grosze, a przy skromniejszych życzeniach i za połowę tego. Dwadzieścia dwa grosze, to mikroskopijna cena za obiad, podczas gdy za nędzny obiadek, *upitraszony*, jak to mówią, na *fryturze*, zapłacić musisz w lichej garkuchni najmniej 45 groszy. Otóż tania kuchnia jest dobrodziejstwem dla ludzi niezamożnych, dla których każde dziesięć groszy znaczy bardzo wiele. Dla tego też tak pożyteczną w całem tego słowa znaczeniu instytucyjkę, należałoby bądź co bądź podtrzymać i umocnić.

W ostatnich czasach odbywały się sesyjki jedne po drugich, pod nazwą tak zwanych *posiedzeń oddziału tanich kuchen*, na których to sesyjkach czy posiedzeniach członkowie radzili, radzili ale nic jeszcze dotąd nie uradzili takiego, coby wzmacniało i ugruntowało istnienie długie tych dobroczynnych kuchni.

Zaprojektowano więc jeszcze jedno posiedzenie członków w tym celu zebrać się i obradować mających, ale w większym jak poprzednio komplecie.

Zobaczymy tedy, jakie to będą stawiane projekty środków do wzmocnienia pomienionych kuchen i jak takowe wykonane będą. Bo to proszę państwa u nas krzyku, hałasu o dobroczynności Warszawy, o jej filantropijności co nie miara; — ale cóż z tego, kiedy ta dobroczynność jest raptowna, efektowna, gorączkowa, a nam potrzeba powolniejszej, chłodniejszej i racyonalnej. Trąbimy w trąbę filantropii a nie umiemy podtrzymać tak maleńkiej a tak pożytecznej instytucyjki jaką jest *tania kuchnia*. Więc cóż mi to za filantropia, co ona warta, jeśli w obec tak małego dzieła, zdajemy się być bezsilnymi... Doprawdy taka filantropia zakrawa na zabawkę dziecinną. I że tak jest, to dwa razy o tem mówić nie potrzeba. Bo zważcie łaskawi państwo: kiedy idzie o kwestę w kościele, gdzie się można ładnie ustroić, nasze damy chętnie lubią poświęcać się na ołtarzu ludzkości. Kiedy idzie o kilkodniowy bazar, gdzie przy dźwięku muzyki i jarzących światłach można bardzo efektownie oddać swoje usługi cierpiącej ludzkości, lub w żywych obrazach na *przytulisko*, albo nakoniec na loteryi fantowej, żadna z naszych pięknych dam nie zawaha się ani na chwilę. Bo i jakże tu odmawiać protekcyi i uczynności swojej na cele filantropijne? Lecz gdy idzie o *tanią kuchnię*; o tę *biedną tanią kuchnię*, gdzie oprócz niezamożnego studenta, lub spracowanego rzemieślnika, albo coś podobnego w rodzaju biedaka znaleźć tylko można, gdzie natomiast nie spotkasz nic z gatunku wyperfumowanego i mizdrzącego się indywiduum, gdzie nie usłyszysz żadnych bredni i komplementów z ust jakiego pana Artura lub Alfonsa, przybranych w wyszwarcowany wąsik lub angielskie faworyciki, gdzie nakoniec nie spotkasz ani jednego próżniaka w złotych binoklach, to gdzież powiadamy, można żądać, ażeby nasze piękne damy miały spieszyć z filantropią?

A jednak był czas, gdzie tanie kuchnie stały lepiej jak dziś, bo z samego początku ich istnienia, kilka dam ofiarowało swoje deżury.

Wkrótce jednak to się urwało i trzeba było urządzić płatną administracyę, która wiele stosunkowo kosztuje; co ma się rozumieć, obciąża i podkopuje możliwość taniości owych kuchen.

Członkowie oddziału, nabrali tego samego przekonania i słusznie odzywają się za potrzebą poczynienia oszczędności, za czem w ślad idzie potrzeba deżurów dam naszych.

Lecz szanowni panowie członkowie, czy takie deżury w *tanich kuchniach* osiągniecie; a jeżeli to nastąpi, czy te będą długotrwałe?

Wybaczcie mi państwo mój pessymizm, bo ja wątpię—ale jeżeli się mylę to i owszem.

* * *

Jak wiadomo, rok rocznie urządzaną u nas była w lecie loterya fantowa i tak zwana zabawa kwiatowa na korzyść biednych.

Na miejsce dla tej zabawy, wyznaczonym był zawsze ogród Saski, ogród jakiego w środku miasta, żadna stolica nie posiada. Otóż ogród ten po każdej takiej zabawie, kilkakroć przez jedno lato urządzanej, wyglądał zawsze jak po napadzie tatarów.

Obecnie w roku bieżącym niby pogrzebano tę oklepaną i nudną, a w skutkach swych szkodliwą zabawę.

I już myśleliśmy, że nasz poczciwy ogród Saski będzie oszczędzonym od zniszczenia, aż tu dowiadujemy się, że komitet zabaw zamierza urządzić wprawdzie inną, bo nie loteryę fantową, lecz zabawę jakąś dramatyczno-muzyczną i gdzie?—oto w Saskim ogrodzie.

Zmiłowania szanowny komitecie zabaw, zmiłowania nad biednym ogrodem, urządzajcie sobie panowie na przyszłość gdzie indziej tę arcyprzyjemną zabawę, urządźcie ją gdzie chcecie, gdzie Wam się podoba, byle nie w Saskim ogrodzie. Bo proszę panów, bardzo jest piękną rzeczą Wasza uczynność dla biednych, ale nie czyńcie tego kosztem niszczenia publicznego ogrodu !....

Z DZIEDZINY CHEMJI.

Chemja teoretyczna, analityczna i stosowana. — Pracownia chemika. — Siarka i węgiel. — Stos i galwanoplastyka. — Sod i glin. — Biel cynkowa usuwająca blejwas. — Użytki z chemii w rolnictwie. — Licha wartość z guana. — Najważniejsze zadania chemii.

Żadna z umiejętności przyrodniczych, z wyjątkiem może geologii, nie poczyniła tak szybkich postępów jak chemia. Rozwój tej pięknej nauki, rzec można, wynikał z badań odbywających się w trzech kierunkach, a mianowicie teoretycznym, analitycznym i praktycznym. Pracownicy jej, zwani *teoretykami*, potrosze marzyciele i poeci, zaprzątali się materyą jedynie z punktu widzenia spekulatywnego, badali wyłącznie tylko zasady tej nauki, nie posługując się żadnem innem narzędziem prócz myśli. Takim był naprzykład Dalton, który w ciągu jednej bezsennej nocy, wykrył prawo stosunków wielokrotnych.

Z kolei przyszli *analitycy*, oddani w laboratoryach mozolnej pracy poznania składu rozmaitych ciał i stosunków, jakie między pierwiastkami tychże ciał zachodziły. Zajęci tego rodzaju dociekaniem, z szalką w ręku, zapatrzeni w mikroskop, zapytywali materyę o tajemnicę jej związków i zmuszali ją do odpowiedzi z pomocą odczynników analitycznych. Zaspokojeni w swej ciekawości, nie żądali niczego więcej — takimi byli Priesticy, Scheele i inni analitycy.

Z wypadków otrzymanych przez tych pracowników skorzystała trzecia kategorya chemików, która nie poprzestając na analizie, zużytkowała jej odkrycia w praktycznem zastosowaniu. Tym ludziom przemysł zawdzięcza gaz oświetlający, dający nam tak jasne światło, zmydlanie ciał tłuszczowych, otrzymywanie rozmaitych metalów, sody sztucznej i t. p.

Moglibyśmy chemików pierwszej kategoryi nazwać myślicielami, drugich badaczami, a ostatnich przemysłowcami. Teoretyk z analitykiem i praktykiem dopełniają się wzajemnie — jeden filozofuje, drugi bada, trzeci manipuluje. Z potrójnej tej pracy, chemia pozyskała rozwój tak znaczący.

Bezkształtna ruda w ręku chemika zmienia się w żelazo, piasek przeistacza w kryształ, węgiel kamienny przetwarza się w światło, ciepło i barwy przeróżne.

Wypada nam potrosze zapoznać się z pracownią chemiczną. Składa się ona zwykle z obszernego pokoju, dobrze przewietrzanego i oświetlonego przedziwnie. Główne w nim miejsce zajmuje kominek kaflowy z piecem rewerberowym i przyrządami, które nadają całości pozór zakładu fabrycznego. Wszelako ustawione na półkach flasze, retorty i fiolki, a w szafach oszklonych słoje, rurki szklane, i inne przedmioty, zawiadamiają nas, że jesteśmy w pracowni chemicznej. Na stołach poplamionych od odczynników, znachodzimy filtry funkcyonujące, przyrządy ogrzewane gazem, rurki kauczukowe i gutaperchowe wszelakiej długości i średnicy, wreszcie druty miedziane, komunikujące się ze stosem elektrycznym. Spostrzegamy tu człowieka, pochylonego nad jakimś płynem wrzącym w naczyniu. To chemik, niekiedy męczennik nauki. Dulong wskutek pęknięcia naczynia z chlorkiem azotu, jakie trzymał w ręku utracił palce i oko. Thénard wykładając chemię w szkole politechnicznej, zamiast wody ocukrzonej, podniósł do ust i wychylił roztwór gryzący sublimatu, to jest chlorniku rtęci, będący jedną z najgwałtowniejszych trucizn. „Jestem otruty — zawołał, — nuże, panowie, dajcie mi co żywo białka jaj!“ Młodzież poskoczyła, przyniesiono jajka, których białkiem raczył się do syta nieszczęśliwy chemik — to go ocaliło od śmierci. W niemniejszem niebezpieczeństwie pozostawał Ebelmen. Służąca jego rzuciwszy od niechcenia okiem do pracowni tego chemika, spostrzegła go leżącego bez czucia i ruchu na ziemi. Fiolka, jaką trzymał w ręku, roztrzaskała się w upadku, a kwas siarczany w niej zawarty, zlał ubranie i wgryzał się w ciało. Widząc w tym stanie swego pana służąca, rzuca się do laboratoryum, lecz w tej chwili pada, duszona zabójczemi wyziewami tlenku węgla i kwasu pruskiego, jakie wywiązywały się wypadkowo z przyrządu, posługującego do wytwarzania pierwszego z tych związków. Z wielką trudnością zdołano przywrócić do życia Ebelmena i wierną jego sługę. Jednym z najznakomitszych chemików na polu praktycznych zastosowań, był Lampadius. W końcu ubiegłego wieku, prażąc pizyt szarawy, otrzymał on płyn gęsty, łatwo zapalny i załamujący światło, któremu nadał nazwę *siarki płynnej*.

Produkt ten od wielu lat zapomniany, w bieżącem stuleciu stał się przedmiotem badań Thénarda, Vanquelin'a, Berzeliusza i innych chemików, którzy wykryli w nim związek jednego atomu węgla z dwoma atomami siarki. Z tego też względu nazwano go *dwusiarkiem* węgla.

Zastosowanie kauczuku w przemyśle, nadało wielką wartość siarkowi węgla, gdyż w nim tylko rozpuszczała się powyższa materya. Cóż z tego, gdy cena owego rozpuszczalnika była niezmiernie wysoką — funt bowiem kosztował przeszło sześć rubli. Wówczas to Perroncel wynalazł sposób taniego otrzymywania tego produktu. Chodziło tu poprostu o zabezpieczenie kruchego naczynia porcelanowego, w którem wyrabiano ten przetwór, od częstych uszkodzeń. Naczynie to składało się z rurki porcelanowej, zagiętej, zawierającej węgiel rozpalony do czerwoności. Do rurki tej wprowadzano w małych ilościach siarkę, z której wywiązujący się gaz łączył się z węglem. Owóż Perroncel w ten sposób zmienił powyższy przyrząd:

Zamiast rurki porcelanowej, kosztownej i łamliwej, użył cylindra z blachy żelaznej, 7 stóp polskich mającego wysokości, a jedną stopę średnicy, i pomieścił go w piecu w pionowem położeniu. Rurka doprowadzająca tu siarkę, dochodziła do samego dna cylindra, w części górnej tegoż, inna rurka przeprowadzała do odbieralnika w postaci gazu, siarek węgla, wytworzony działaniem siarki w stanie lotnym na koks. Deiss uprościł wielce przyrząd Perroncel'a, wskutek tych ulepszeń siarek węgla, którego funt kosztował w 1840 roku 6 do 7 rs., dziś sprzedaje się po 6 do 7 kopiejek.

Siarek węgla, oprócz rozpuszczania kauczuku, ma inne jeszcze zastosowania, oczyszcza wełnę surową z materyj tłuszczowych i zabiera olejki wonne ciałom aromatycznym. Chemik potrzebuje często pomocy fizyka i wzajemnie. Fizyk naprzykład mówi do chemika: „Wyprodukuj mi kwas siarczany, cynk i miedź, a z tych rzeczy złożę ci stos, z pomocą którego będziesz mógł rozkładać sole i otrzymywać osady galwanoplastyczne.“

W rzeczy samej, w 1837 r. rozłożono za pomocą stosu siarczan miedzi. Kwas siarczany przeszedł do bieguna dodatniego, miedź osadziła się na biegunie odjemnym. Jacobi w Rossyi, a Spencer w Anglii, otrzymali w ten sposób pierwsze wyciski galwanoplastyczne.

Od tej chwili elektro chemia poczyniła postępy znaczące: łyżki cynowe ustąpiły miejsca platerowanym, to jest powleczonym galwanicznie cienką warstwą srebra, a koszt takiej łyżki wynosił tylko dziewiątą część ceny łyżki srebrnej. W 1827 roku, Woehler wykrył pierwiastek glinki, zwany *glinem*, który napróżno usiłowali otrzymać Davy, Berzeliusz i Oersted. Aby wydzielić glin z glinki, Woehler zmienił ją najpierw w chlorek glinu, a to przeprowadzając chlor przez mieszaninę glinki i węgla, ogrzewaną w rurce porcelanowej. Następnie chlorek glinu rozłożonym został na chlor i glin, za pomocą sodu, to jest metalu wchodzącego w skład soli kuchennej. Glin tą drogą otrzymany, nie mógł wszakże mieć żadnego zastosowania w przemyśle, z powodu wielkich kosztów manipulacyjnych. Dość powiedzieć, że gram glinu sprzedawano po 50 franków.

Henryk Sainte-Claire-Dèville, podał jednak sposób nierównie tańszego otrzymania tego metalu, chociaż musiał się tu łamać z niepospolitemi trudnościami, przedewszystkiem potrzeba było pozyskać sod po cenie przystępniejszej, gdyż wówczas za funt tego metalu płacono 125 rs. Chemik francuzki w tym celu połączył się z Brunnerem i po wielu usiłowaniach zdołał otrzymać wypadek tyle pożądany, a to rozkładając węglem w wysokiej temperaturze węglan sody. Dziś funt sodu nie kosztuje już 125 rs., lecz około rs. 1 kop. 20. Wtedy też dopiero można było pomyśleć o zredukowaniu chlorku glinu. Dokonano tego w piecu rewerberowym, opatrzonym sklepieniem i otworem zamykanym, przez który rzucano w łożysko, poprzednio ogrzane, mieszaninę chlorku glinu i sodu, z dodatkiem tryolitu (fluorek glinu i sodu) w ilości 20%. Przymieszka tego ostatniego związku, ułatwiała stop owych materyj. Pomimo tych uproszczeń manipulacyjnych, glin powyższą drogą pozyskany, jest drogi — funt tego metalu dziś jeszcze płaci się 12 rs., co naturalnie przeszkadza szerzeniu zastosowania glinu w przemyśle.

Zabójczy przetwór, zwany *bielą ołowianą*, lub z niemiecka *blejwasem*, będący węglanem ołowiu, skłonił Guyton'a Moreau do poszukiwań, mających na celu zastąpienie tej farby, szkodliwej zdrowiu robotników, inną, niewinną. W rzeczy samej, wynalazł on taką, a mianowicie *biel cynkową*, będącą tlenkiem cynku. Farba ta otrzymuje się bardzo prostym sposobem. Dość jest bowiem ogrzać w prądzie powietrza cynk w tym stopniu, aby przechodził w stan lotny, i zebrać delikatny pyłek, powstały z tego utlenienia. Myśl tę powziął prosty robotnik Leclaire, i zastosował ją z pomyślnym skutkiem w praktyce. Biel cynkowa zastępuje przedziwnie ołowianą, pomimo rutyny opierającej się jeszcze ich rozpowszechnieniu. Trzy ważne względy przemawiają za szerszem zastosowaniem farby cynkowej. Biel ta nie jest trującą, malowidła przy jej użyciu nie czernieją pod wpływem wyziewów siarkowych, jak to ma miejsce z farbą blejwasową, wreszcie biel cynkowa jest nierównie tańszą od ołowianej.

Niemniej ważne usługi oddaje chemia rolnictwu.

Przed trzydziestu laty przyjmowano z odrazą i niedowierzaniem nawozy chemiczne, szydzili z nich dowcipnisie, nauka jednak nie zrażała się ani szyderstwem, ani powątpiewaniem niedowiarków, zajmowała się pilnie badaniami na tem polu i otrzymała w końcu pożądane wypadki.

Chemicy okazali, że żyzność ziemi zależy od natury gruntu, głębokiej uprawy i nawozu odpowiedniego glebie. Analiza ziemi w danej miejscowości, wskazuje im jakich pierwiastków ziemia potrzebuje i w jakie jest zasobną. Nawóz zatem chemiczny stosować się winien do warunków gruntu i łączyć z głęboką orką. Przy dobrej uprawie i stosownym nawozie, ziemia zawsze wyda plon bogaty, jeżeli obok tego posiadać będzie wilgoć, dostateczną ilość ciepła i inne warunki, wpływające na urodzajność roli. Przed laty zachwalano guano, jako produkt użyźniający niesłychanie ziemię, chemicy wszakże wykazali, że guano niewiele obfituje w azot i nie jest bynajmniej dla naszej roli praktycznym nawozem. Peruwianie są dobrymi gospodarzami, gdyby guano było im tak pożytecznem, nie sprzedawaliby je Europejczykom. Chemia zaprząta się dziś nietylko poszukiwaniem praw, zarządzających związkami, nietylko rozbiorem ciał poddawanych jej analizie, ale nadto zaopatruje przemysł w najużyteczniejsze dlań przetwory, pracuje że tak powiemy nad zadaniem

pomnożenia chleba, odkrycia jej zatem mają doniosłość społeczna.

Wincenty Niewiadomski.

GAWĘDY PRZY KOMINKU

Jmci Pana Pułkownika Leliwy

Z PAPIERÓW PO MŚCIWOJU

skreślił

M. J. W. Federowski.

I.

Gdzie nasza wiara — odważna, stara,
Co biła Tatarów i chanów
I gdzie postacie — co w zbrojnej szacie,
Broniły kresów, kurhanów?
Nie doszły wzory — do naszej pory,
Lecz nie — nie! mylę się pono:
Zostały herby — a w mieczach szczerby,
Pro nostro publico bono.
A i my także — synowie tych mężów,
. . . .

Tak, tak! — prawił Imci pan Leliwa, siedząc przed staroświeckim kominkiem, a lulką się zabawiając—źle się dzieje teraz na świecie, młodzież coraz niedołężniejsza, świat coraz gorszy, ktoby tu z wami dłużej dosiedział? Nie tak mospanie za mych czasów bywało: podrostek, gdy alvara porzucił i w głowinie miał jako tako a fantazyą niezgorszą, zabierał się do sumiennego, dokumentnego zapoznania się z historyą rodzinnego kraju. Więc gdy bywało, zagadniesz młokosa o jaki wybitniejszy rys dziejów, czy o Grunwaldzie, czy o potrzebie wiedeńskiej, kontenansu nie tracąc, porządnie w czem rzecz była et in super co się przed laty działo, bez zająknienia wydysputował. A dziś?... Tak, tak! mospanie — prawił dalej Leliwa — a że się to za młodu junaczyło i burzyło niby piwo młode, to nic, ustatkowawszy się, służyło wiernie czynem i radą, pro publico bono. Czasami wyjątki się trafiały, ale gdzie ich nie masz? To jednak mospanie pewna, że ongi więcej mieliśmy ludzi prawych i poczciwych, a jak oka w głowie dbałych o domowe ognisko. Bo jakże się może dobrze dziać, jeżeli nie ma zgody między najbliższemi, jeżeli gdy są razem, to siedząc wedle siebie jedno się boczy na drugie i patrzy nań zyzem? Toć mospanie z rodzin składa się naród, kółko rodzinne to ogniwo wielkiego łańcucha, gdy tandem ogniwo nie spojone silnie miłością i cnotą, pożal się Boże jaki z tego łańcuch będzie! I machnąwszy ręką a zadumawszy się trochę, w ten sens dalej ciągnął Leliwa: Na opak teraz mospanie, na opak na tym Bożym świecie się dzieje, aż serce boli, gdy się o tem pomyśli. Rodzice przykład zły dają dzieciom, na nauki wysyłają ich gdzieś tam w zamorskie kraje, a gdy to mospanie powróci, to najczęściej się zdarza, że i sceptyzmu nabierze i pogardza wszystkiem co krajowe choć godne szacunku; najczęściej w pale ciemno jak w rogu, a zagabnij go o co, to palnie ci jakie koszałki opałki, androny, lub duby smalone, że się człekowi, acz i nie ma z czego, na śmiech pusty zbiera.

Tak przemówił do mnie pułkownik, gdym po skończeniu szkół wojewódzkich do domu rodzicielskiego zjechał, a że spostrzegłem na nim srogi smutek nad dzisiejszą generacyą i progresami więc:

Źle mi się jakoś na sercu zrobiło, że on posmutniał i mnie smutno było. Ale, nim się w dalszą gawędę wdamy, poznajmy Imci pana Leliwę kto on zacz i czem na świecie bywał. Otóż chcąc go wam dokładnie opisać, powiem, że była to figura miną i postawą słuszna, acz 7-mego krzyżyka dosięgał prosto się trzymał, a z marsowatej postawy znać było człeka co na żołnierskiem rzemiośle, chleba się najadł do syta. To też gdy ukończył rycerską szkołę w Warszawie, zaraz do wojaczki zabrał się szczerze, gdy zaś pod Szczekocinami do starcia przyszło,Leliwa był porucznikiem, a gdy już wszystko w łeb wzięło a w kraju było cicho, to na odgłos Napoleońskich wojen, Imci pan porucznik zaciągnął się jeden z pierwszych do legionów sztyftowanych we Włoszech przez generała Henryka Dąbrowskiego. Pod Lodi awansował na kapitana, a wnet gdy pod Hohenlinden korpus polski pod dowództwem Kniaziewiczarozstrzygnął wygraną kapitan zaś odważnym atakiem zdobył nieprzyjacielską baterye, pułkownikiem, przy odgłosie bębnów, na placu bitwy, ogłoszonym został. W tym to już stopniu całą Europę wzdłuż i wszeż spenetrował, a w rozprawie pod Lipskiem, to się z taką fantazyą ucierał i takiej waleczności dał przykład, iż pięć ran oberwał w nagrodę za męztwo krzyż legii honorowej otrzymał; nim się jednak wylizał z razów otrzymanych pod Lipskiem, to już bohatera, za którego nieraz karku nadstawiał, na widowni politycznej nie było. Więc rad nie rad, a nie chcąc innej sprawie służyć, wrócił Leliwa pod rodzinną strzechę i żyjąc już tylko wspomnieniami z lat ubiegłych, bez przerwy w dziedzicznej swej wiosce, przykładnie gospodarzył. Nosił się zawdy z polska, dostatnio lecz nigdy okazale, więc czupryna jak śnieg biała z czerkieska podgolona, wąs duży z fantazyą pokrętny, żupan zwykle sukienny cynamonowy, spinką pod gardłem zapięty, na nim kubrak lub zimą bekiesza lisami podszyta, buty długie palone, a na głowie rogatywka granatowa baranami obszyta. A już to od wielkich festynów, czy to w jakie święta pańskie, lub też w dzień imienin swoich na świętego Adama, gdym mu jeździł do Mieczowa affekta składać, natenczas przywdziewał suknie żołnierskie, a pięknie starcowi było, ba! nawet odmłodniał, gdy się w nich prosto trzymając, przypinał do piersi krzyż legii honorowej. Co zaś miał osobliwszego w sobie, to pamięć wielką i dar słowa za serce porywający, bo też miał i o czem gwarzyć, wielkie akcye na świecie przeżył a w niejednej osobiście był aktorem. To też bywało jak przyjedzie do Skorunia, przy kominku zasiądzie, a my wedle niego; jak nie zacznie prawić, to jednego za serce pociągnął wspomnieniami przeszłości, drugiego do łez przywiódł pięknym dyskursem, bo nieraz i czule umiał się wyjęzyczać, a już to acz na Leliwę mówili niektórzy, że jest oryginałem i człekiem starej daty z zacofanemi poglądami, toć jednak, nie zważając na to, duszę pospołu byśmy zań oddali, bo już taki respekt mieliśmy w sercach naszych dla tego starca. Gdy się zapuścił w ubiegłą przeszłość, zapominał o wszystkiem i jovialis był nierzadko, lecz przytem i statysta wielki, a pamięć powtarzam, taką miał dobrą, że gdy słyszał jaką oracyę, lub gdy co przeczytał, to pomimo lat podeszłych ad verbum powtórzył, ba! a nawet i piękniej się to jakoś, gdy on powtarzał, wydało.

Taka to była osoba z Imci pana pułkownika Leliwy, to też i teraz, gdy się z zadumy ocknął, w ten sens począł gwarzyć do mnie:

„Wiesz acan zapewne już dobrze o tem, że Polska była zawdy tarczą, dla sąsiednich narodów, ba! nawet i dla całej Europy przeciwko dziczy pogańskiej, a jej syny już to mospanie z Turczynem, już to z Tatarem wciąż się ucierając, nieraz i głowy swe kładli za wiarę świętą i całe chrześcijaństwo. Ale już to acan, zapewne nie wiesz, jakie były owe siły zbrojne, jakiej barwy, oręża i jakie nosiły miana? Dla tego posłuchajno acan a wnet zrozumiesz rzeczy, które każden wiedzieć powinien, boć mospanie człek, który nie zna przeszłości swojego kraju, nie godzien nosić miana obywatela i członka tej wielkiej rodziny, do której my się liczymy. Otóż trza acanowi wiedzieć, że naród polski od wieków był rolniczym i że zawdy w braterskiej zgodzie szło u nas zamiłowanie w rycerskości z zamiłowaniem w rolnictwie, oręż z lemieszem! zawdy pospołu, bo kord czynił sobie zadość, obraniając od pogaństwa Rzeczypospolitej, lemiesz uprawiał ją i osiedlał puste przestrzenie na Ukrainie i Rusi Czerwonej. Oba te żelazca okryły się w równej mierze chwałą i wawrzynami. Lecz gdy już do wojny przyszło to naród z najdawniejszych czasów, posiadał swoich wojewodów i kasztelanów, którzy niczym inszym nie byli, jeno mospanie dowódzcami ludu zbrojnego w czasie wojny, który służąc konno i o swoim koszcie w obronie kraju, miał pewną wyższość nad ludem pilnującym roli; dostając zaś w nagrodę męztwa kawały ziemi i rozmaite przywileje, odróżniał się niemi od reszty ludu, i stąd powstała szlachta. Szlachta czyli rycerstwo polskie, było tylko konne przez wici zapalone lub pisma na pospolite ruszenie województwami zwoływane; pieszy zaś żołnierz, trza acanowi wiedzieć, był z początku obcy, żołdem opłacany, kiedy mospanie narodowy na swojem wojował koszcie. Rycerstwo to zgromadzało się pod chorągwie wojewodów, kasztelanów i panów znakomitszych. Chorągwie bywały oznacane herbami rodzinnemi, w miarę wznoszącej się sławy narodowej powstałemi a za Łokietka już powszechnie jako szlachecki klejnot w Polsce używanemi. Do Bolesława śmiałego rycerstwo nasze przywdziewało się w bardzo ciężką zbroję, ale gdy ten król, przeprawiając się ze swem rycerstwem, przez mocno wezbraną rzekę Ossę, na uskromienie niesfornych Prusaków, przez ciężką zbroję w tej rzece, wiele rycerstwa stracił, to powiadają mospanie, iż odtąd Polacy przestali tak ciężkiej zbroi używać. I długo w dawnej Polsce rzeczy się tak miały, rycerstwo w żelazo okute, a w łuki i miecze uzbrojone, potykało się mężnie z wrogami ojczyzny, aż dopiero gdy Kazimierz Wielki na tronie polskim zasiadł, to pa-

miętajże acan to sobie, za panowania tego króla, w wyprawie na Ruś Czerwoną, pierwszy raz w Polsce, broń ognista użytą była. Zaś Zygmunt August ustanowił kwartę, czyli czwartą część dochodów ze starostw, które od tego nosiło miano. Dopóki broń palna nie była ulepszoną, to i w Polsce, jak wszędy po świecie, nic sobie z tego nie robili, konie się jeno strachały, jak poczęli bić z moździerzy, a że to donośne nie było, więc też i nie wielkie wyrządzały szkody, lecz gdy mospanie ościenne narody, zaprowadziły broń lepszą, a Szwajcary dokazali, że piechotą gardzić nie trzeba, to natenczas Batory w Polsce panując, zaprowadził z branych ludzi po wsiach i miastach, piechotę tak zwaną łanową, a oblekłszy ją w jednakową barwę czyli mundury, na wieczne czasy ustanowił. A że u nas w Polsce, było wiele warownych grodów i zamków to takowa piechota, do bronienia tych warowni, zwykle była używaną. Ale to u nas nie tylko królowie wojsko trzymali, bo i panowie podówczas, tak ogromne mieli dochody z własnych włości, i mospanie bogatych a od króla rozdawanych starostw, że oprócz pełnych przepychu dworów, bogactw i kosztowności, oprócz licznej czeredy służalców, oprócz niezmiernych ekspensów na okazałe biesiady, własnym kosztem utrzymywali ludzi zbrojnych, do boju gotowych, a co i dziwniejsza jeszcze, to że własnym kosztem czynili wyprawy wojenne. Lecz to już mospanie żaden król tak nie opatrzył wojska w porządny rynsztunek, jak Władysław IVty, gdy polskie berło dzierżył. A było to natenczas co i widzieć, bo Polska wówczas swem rycerstwem imponowała po całym świecie, więc prócz pospolitego ruszenia, co gdy okrzyknęli, to każden szlachcic stawał w obronie Rzeczypospolitej, składało się wojsko polskie z kwarcianego i łanowego żołnierza, a nielicząc mospanie zaciężnych pułków cudzoziemskich, wojsko to jeszcze się składało: z żołnierza, którego w czasie wojny, dostarczać były winne ordynacye: Zamojska, Pińczowska i Ostrowska i z tych żołnierzy, których możniejsi panowie na wojnę wiedli pod swemi chorągwiami. Wojsko to z powodu swej barwy, dzieliło się na autoramenta polski i cudzoziemski. Otóż do autoramentu polskiego liczyły się półki konne: husarskie, pancerne, petychorskie i lekka kawalerya czyli kozaki. Do cudzoziemskiego należały: dragonia, węgierskie i janczarskie chorągwie czyli huzary i tatary, artylerya czyli armata i nakoniec piechota.

A teraz mospanie, żeby to było pojęte i należycie zrozumiane to będę acanowi określać każdą z tych barw z osobna. Więc naprzód hussarze, była to najcięższa kawalerya, żelazem od stóp do głów okryta, z żelaznemi rękawicami i żelaznym szyszakiem, ustrojonym w żelazne skrzydła, szyszak ten prócz tego był ubrany w pióropusz z piór bocianich lub żurawich, któremi zdobiono i łby koni—również zbroją na piersiach i udach okrytych. Na plecach ci hussarze mieli skrzydła oprawne w ruchome zawiasy, które przy ataku wydając szelest, straszyły konie nieprzyjacielskiej strony. Barwa ta, na ramionach zwykle zawieszane miała skóry lamparta, rysia lub niedźwiedzia, w ręku rohatynę czyli kopią trzy łokcie długą, u boku szablę turecką krzywą u siodła mospanie rapir, przytem toporek, czekan lub obuszek czyli młot do skruszenia nieprzyjacielskiego szyszaka, oprócz tego pistolety w olstrach przy siodle, lub też na temblaku. A już to powiadam acanowi — prawił dalej Imci pan Leliwa—byli to chłop w chłopa jak dęby, z miną djablą a z fantazyą ognistą, to też bywało jak przyjdzie jaka okazya, to się w szale męztwa wrąbali w środek nieprzyjaciela, a już to najczęściej nic nie ustało gdy przypuścili atak, a zwykle się tak nadarzało, że niech jeno konie nieprzyjacielskie usłyszą szelest hussarskich skrzydeł, to ni z tego ni z owego mospanie w prawo w lewo i w rozsypkę... Natenczas łatwa już była z wrogiem sprawa, bo za pierzchającymi wysyłali w pogoń lekką jazdę pancerną lub też kozaków a ci żadnemu nie przepuścili. A jaka to była odwaga u tych mospanie hussarzów, to w dowód tego dam acanowi przykład: Było to pod Wiedniem, aż tu razu jednego król mospanie jegomość, w te słowa rzecze do Stanisława Jabłonowskiego: „Weźno wasze kilka koni a zobacz co zacz Turki w obozie robią.“ Jabłonowski, a był to tęgi kawaler, nie czekał mospanie ażby król jegomość raz drugi rozkaz powtórzył, zbiera więc kilkunastu hussarzy i jak nie przypuści w całym pędzie koni to aż do wezyrskiego dotarł namiotu, a narobiwszy niemałego strachu i zamięszania w obozie tureckim, powrócił napowrót nie straciwszy ani jednego człowieka.

Drugą barwę autoramentu polskiego stanowili kopijnicy, była to podobnież do hussarzy ciężko uzbrojona jazda, jakoż tylko od poprzednich różniła się tem, że u kopii bywały przyprawne chorągiewki, skrzydeł kopiejnicy nie mieli a u siodła były przyprawne koncerze czyli pałasze długie a kończaste do przebijania zbroi lub też upadłego wroga.

Dalej następowali Pancerni i Petychorcy, czyli Czeremyscy, a byli oni okryci zbroją krótką, pancerzem lub kirysem zwaną; mieli tarczę i szyszak zwyczajny, który również dla postrachu zdobili skrzydłami i piórami ptaków, i już w krótszą nieco kopją a również chorągiewką opatrzeni byli; takoż w łuki, strzały, pistolety i w skrzywą szablicę przy boku, miasto zaś skór zwierzęcych nosili na sobie bórki czyli płaszcze z grubego burego sukna. Czemerysey zwani byli jeszcze inaczej towarzyszami. Ci tedy mospanie towarzysze składali się ze szlachty dostatniej, bo trzeba wiedzieć, że chociaż jedna chorągiew liczyła jeno piędziesięciu towarzyszów, to każdy towarzysz choć na najdalszą potrzebę, nie liczniej się stawił, jak samoczwórt lub samoszóst; to też mospanie, nie mało trza było ekspensować, chcąc utzymać u swego boku pięciu lub sześciu ludzi. A trzeba acanowi wiedzieć, że interesami takiej chorągwi zawiadywał namiestnik, który musiał siedzieć w mieście mając u swego boku kilkunastu żołnierzy do odwachu i kordegardy. W takiem mieście gdzie naczelnik siedział odbywało się rok rocznie—koło chorągiewne. Na takim to kole, gdy się wszycy towarzysze chorągwi w czasie oznaczonym zjechali, radzono już to nad interesami chorągwi, już to obierano nowego namiestnika i deputatów do egzekucyi podatków, już to bawiono się przez czas niejaki, bo już mospanie we zwyczaju leżało, że na takiem kole popisywali się towarzysze chojnością, lub też zręcznością w robieniu bronią, sile i dosiadaniu rumaka, o odwadze nie ma co mówić, bo w tych mospanie czasach, każdy był mężnym i śmiałym, a ludzi tchórzem podszytych na palcach zliczyć można było. Już to nakoniec popisywali się z affektami dla panów braci, a niekiedy to mospanie i do tego przyszło, że ichmośc szlachta idąc o lepsze w krzyżową sztukę, z rozpłataną gębą lub obciętym nosem lub uchem do dom powracali.

Ostatnią nareszcie barwę polskiego autoramentu stanowiła lekka kawalerya z kozaków polaków złożona, była więc po części zbrojna, koszulkami z łańcuszków i ogniwków żelaznych, karacenami zwanych i szyszakiem, po części zaś jak zaporożcy, w samych tylko sukniach. Lekka kawalerya uzbrojona była w pałasze, łuki, groty, pistolety a z wierzchu przyodziani bywali burkami włosianemi. Polacy mieli zawsze z kozaków mocną ścianę na południowo zachodnich granicach, a z ich męztwa i wierności silną w kraju podporę. Batory podzielił kozaków na 6 pułków po tysiąc ludzi, z następstwem zaś czasu liczba pułków znacznie powiększoną została. Każden kozak był na prawach szlacheckich, a kozaczyzna posiadała swego oddzielnego hetmana, także mospanie i różnych urzędników, jako to: obożnych, chorążych, sędziów, pisarzy, assawułów, koszowych, atamanów i wielu innych, a jak to wyżej już accanowi powiedziałem, z kozaka była to mospanie sztuczka nie lada, waleczny, zacięty i na trudy wytrzymały, co tak potrzebne każdemu żołnierzowi. A nieraz się i zdarzało, że po za granicami ojczyzny dosięgali wawrzynów chwały. Jak i w trzydziestoletnią wojnę, gdy ich Zygmunt III wysłał w pomoc cesarzowi niemieckiemu, to ci Lisowczyki od wodza swego Aleksandra Lisowskiego tak przezwani, zawsze pod wodzą Strojnowskiego zwycięzko wychodzili i dobrze sobie poczynali, a gdy odwołani zostali, to wielką chwałą okryci do kraju powrócili. Lud ten, który tyle okazał wierności dla Polaków, Polska utraciła za panowania Jana III, z mocy traktatu Grzymułtowskiego — Razem z Ukrainą do 300,000 dusz kozaków, przeszło pod panowanie rossyjskie.

Cudzoziemskim autoramentem zwano w Polsce te wojska, które umundurowaniem i rynsztunkiem wojennym, były od obcych narodów naśladowane, co i same nazwiska wskazują. Takimi to byli dragony czyli arkieabuzyery, którzy na podbieństwo hussarzy byli ciężko uzbrojeni, lecz miasto kopij zaopatrzeni byli w strzelbę, a w razie potrzeby bronili się lub nacierali piechotą. Do tegoż autoramentu zaliczały się pułki konne węgierskie czyli huzary, i janczarskie czyli tatary, z węgierska i tatarska w suknie przyodziani, przy uzbrojeniu składającym się z łuków, strzelb, pistoletów i szabli.

Działobitnia mieściła w sobie armaty czyli właściwą artyleryą, następnie filizyerów, pontonierów i minierów. W początkach działo-

bitnią mieliśmy bardzo lichą, obsługiwaną przez czechów, niemców lub drugich cudzoziemców, lecz gdy z czasem uznaliśmy, że i armata na coś więcej przydać się może, to i ziomkowie nasi zaczęli się do tej broni więcej przykładać. Wnet już pod Obertynem widzimy, że Stoczkowski pierwszy polak dowodzący nad armatą, do tego zwycięztwa wiele się przyłożył. Albo jak i Piastowski który w roku 1610 przez dobrze urządzony i utrzymany ogień, najwięcej się przyłożył do zdobycia Smoleńska.

Z postępem czasu, postępowały i ulepszenia nad działobitnią. Władysław IV ją powiększył i sztuki zakładania min rozkazał uczyć polaków. On także Pawła Grodzkiego a szlachcica Łukowskiego, generałem nad armatą mianował, i od tej pory stopień ten w Rzeczypospolitej stale się utrzymał. W późniejszych już czasach żadna bitwa bez armaty się nie obeszła. Ostatni nasz król, Stanisław August wiele się przyczynił do przeistoczenia działobitni na lżejszą i według potrzeb czasu, organizował ją na sposób innych artyleryj Europejskich, sprowadzając do obznajmiania zagranicznych oficerów. Sławną za Księztwa Warszawskiego w wojnach 1809, 1812, 1813 i 1814 roku, była lekka konna, pozycyjna artylerya polska, o której muszę choć pobieżnie acanowi o niej powiedzieć. Podobnej artyleryi jaką posiadaliśmy za księztwa Warszawskiego, to przedtem w wojsku polskiem nigdy nie było. Pierwszy w r. 1808 sztyftował ją kapitan Władysław Potocki, następnie Roman Sołtyk utworzył drugą kampaniją. Pod Raszynem, Gdańskiem i Lipskiem dowódzcy jej okazali dowody wielkiego talentu. Następnie utworzono pięć takich kompanij, lecz po submisyi danej wiekopomnej pamięci cesarzowi Aleksandrowi I, jedna już tylko pod dowództwem Wincentego Krasińskiego z pięcioma tysiącami legjonistów, których cesarz Napoleon od przysięgi zwolnił, do kraju powróciła...

Piątą i ostatnią barwę autoramentu cudzoziemskiego stanowiła piechota, dzieliła się na: hajduków, uzbrojonych w strzelbę, pałasz, siekierę—i na zaporożców w strzelbę, dzidy czyli krótkie kopje bez chorągiewek, w łuk i strzały opatrzonych. Piechota polska w stosunku udoskonalającej się taktyki i organizacyi wojskowej, różnym zmianom uległa. Resztę zaś ludu do regularnego wojska nienależącego, do posługi, konwoju i używanego na obozową posługę, zwano ciurami.

A była to mospanie z tych ciurów plaga każdego obozu, a więcej to do picia ażali do bicia stworzone było, a gdy już tylko orężowi naszemu wiktorya posłużyła, to lecieli do rabunku i różnych bachanalij jak na lep muchy, z tego to powodu rycerstwo dworowało sobie z tych ciurów przy byle okazyi mówiąc:

Wszystkie razem ciury
Niewarte psiej skory [1]).

Ale ja się pono za wiele rozgadałem, a tu jak na despekt droga do Mieczowa zła, na świecie zadma i przyjdzie człowiekowi w darze za tak długą gawędę zabłądzić i nocować w polu—

[1]) Ze starego manuskryptu.

prawił Imci pan Leliwa, puszczając kłęby dymu z tureckiej fajki; a skorośmy nareszcie uprosili Leliwę ażeby dał pokój jeździe i w Skoruniu przenocował, to przystawszy na to, tak gawędę kończył:

Tandem tedy, wojsko takie mało płatne a liczne, dopuszczało się mospanie wielu bezprawiów. Z tych to więc powodów za panowania Augusta II w Warszawie, na tak zwanym *niemym Sejmie* w roku 1717, stały żołd oznaczono i pułki stosownie umniejszono. W następnych zaś czasach, przy zmianie sposobu wojowania, pułki hussarskie i pancerne zniesione zostały, a w ich miejsce jedna tylko kawalerya narodowa utworzoną została. W tej to kawaleryi jeno sama szlachta mieścić się mogła i w pierwszym szeregu z chorągiewkami, szablą i pistoletami stawała, w drugim zaś rzędzie stali luzaki czyli pocztowi, zbrojni karabinkami i kopjami bez chorągiewek. Co się zas tyczy dragonów, huzarów i tatarów, to takowe półki przy zmianie mundurów, od Ułanieckiego przezwane zostały ułanami. A z powodu, że ci ułani zawsze mężnie sobie poczynali i że najładniejszą mieli barwę, to i szlachta najwięcej się do tej kawaleryi zaciągała. A za księcia Józefa śpiewano:

Nie masz pana,
Nad ułana!
A nad lancę broń i t. d.

Nie godzi mi się adorować tych ułanów, bo że człek przez 15 lat w tej barwie przebył, to byś mię acan o samolubstwo posądzał, lecz już niech co chce będzie, ale zawsze to na końcu powiem, że ułani polscy niejednokrotnie przysporzyli sławy orężowi naszemu, już to za Księztwa Warszawskiego bijąc Austryaka, już to nareszcie we wszystkich wojnach napoleońskich, po całej Europie prowadzonych.

A pod Sammosiera hę? mój acanku, toby nic tam nie zrobili żeby nie my. Było też to i na co mospanie popatrzyć, człek sam tam był, to i najlepiej wie i opowiedzieć może o tem bezprzykładnym w dziejach ataku. Francuzi aż trzy razy do ataku szli i za każdą razą z kwitkiem powracali, wielką ponosząc stratę w ludziach, bo hiszpan dyable z moździerzy prażył. Dopiero jak na nas stojących na uboczu, Kozietulski nie zawoła: wiara naprzód! marsz! marsz! to wnet byliśmy już i na górze, a zrąbawszy skórę hiszpanowi, wąwóz dobyliśmy razem z armatami.

Po zwycięztwie cesarz ręce zacierał, kilkanaście krzyży własnoręcznie przypiął, awansów mnóstwo rozdał, a pamiętny ten dzień w biulletynie przeznaczył dla nas.

I tyle to co acanowi o wojsku polskiem powiedzieć mogłem, to też proszę zapamiętać bo są to rzeczy bardzo piękne i godne ze wszechmiar uwagi — Na tych słowach Leliwa zakończył niniejszą gawędę, podziękowałem więc staruszkowi, przyrzekając że nie zapomnę, po chwili zaś, że to i późna pora była i że na kominku ogień zagasł, udaliśmy się na spoczynek. Wkrótce pułkownik zasnął a ja długo się przewracałem z boku na bok, marząc o świetnem tém wojsku i o zasługach jego.

TEATR.

PODRÓŻ NA OKOŁO ZIEMI w 80 DNIACH

Dzieło sceniczne w 14-tu obrazach,
przez pp. Verne i Dennery,
z muzyką Suppego.

Obrazy: 1-szy) Zakład o milion —2-gi) Przy kanale Suezkim.—3-ci) Wdowa po Rajachu.—4-ty) Na stosie.—5-ty) Ucieczka do Allahabad. — 6-ty) W Kalkucie.—7-my) Grota wężowa na wyspie Borneo.—8-my) Kopalnie złota w San-Francisko.—9-ty) Napad Indyan na kolej żelazną „Pacifique“. — 10-ty) Stopnie olbrzyma Kearnej. — 11-ty) Na pokładzie okrętu Henrjetta. — 12-ty) Rozbicie okrętu. — 13-ty) Agent policyjny. — 14-ty) Trzy wesela.

Podróż na około ziemi jest to sobie pyszna humoreska sceniczna, w rodzaju jakiego przedtem na deskach teatralnych nie widziano. Cały jej pomysł podjęty jest z humorem prawdziwie francuzkim i przyznać należy dosyć oryginalnie. Podróż—na zagranicznych scenach, ogromnem cieszyła się powodzeniem, a jeśli nas pamięć nie myli, to w roku zeszłym codziennie przez rok cały prawie, grywano ją w Berlinie, gwoli zapamiętałej uciesze Niemców. Jeśli tedy oszczędni i wyrachowani obywatele Nad-Spreiscy rujnowali się na bilety teatralne, byle się ufetować pomysłem francuzkim, toż to już musi być coś, co i nas ubawi do syta i uśmieje do rozpuku. Tak utrzymywali widocznie i niektórzy z dyrektorów teatrzyków ogródkowych, mianowicie p. Terenkoczy w Tiwoli i w ślad za nim p. Grabiński w Alkazarze, którzy dźwignęli w ostatnich czasach na swych barkach cały ten arsenał niespodzianek i przygód, *Podróżą na około ziemi* objętych, wcale starannie i udatnie, mimo mikroskopijnych rozmiarów scen, jakimi rozporządzają. Codziennie więc *podróżowali*, *podróżują* i długo jeszcze *podróżować* będą, na pociechę publiczności naszej, która tłumnem obleganiem kass i rozkupowaniem wszystkich codzień biletów, daje dowód sowitego uznania dobrych na tym punkcie chęci dyrektorów, a serdecznym na przedstawieniu śmiechem i hałaśliwym oklaskiem, manifestuje swoje ukontentowanie.

— A cóż to jest, co się tak ludziom podoba?

— Zaraz zobaczymy.

OBRAZ I.

Mister Fogg, prezes Excentric-klubu w Londynie, robi zakład z kilku członkami tegoż klubu ni mniej ni więcej, tylko o milion franków, że objedzie całą ziemię dokoła w przeciągu 80-ciu dni.

Pomienieni członkowie uważają zamiar za szaleństwo, niepodobne prawie do spełnienia w takim terminie, lecz *gentelman*, czystej krwi *folblut*, z właściwą sobie flegmą, zdolną królika zniecierpliwić, odpowiada, że gdy to jest minimum czasu do odbycia podobnej podróży, zatem dla niego wystarcza.

— Ależ niebezpieczeństwa, przeszkody w podróży *mister* Fogg...

— Nie wierzę w przeszkody, moi panowie, odpowiada *gentelman* i jako gwarancyę zakładu

milion franków w banku angielskim zostawiam a drugi biorę ze sobą i za dni 80 o godzinie 9-tej wieczorem, postaram się powitać panów w nowym pałacu klubu naszego tu w Londynie.

— Zatem do widzenia Fogg.

— Do widzenia.

Skinął na Passepartout, nowego swojego lokaja, dając mu polecenie, ażeby za pół godziny był gotów do podróży i czekał na dworcu kolei żelaznej.

Pasepartout, który za 40 franków dane stręczycielowi kupił sobie, jak powiada, pana, dla tego tylko, że mu się ten lepiej od innych podobał, podrapał się w głowę na wiadomość o podróży, lecz z rezygnacyą godną arystokratycznego lokaja i z energią, w krwi Francuza płynącą, najakuratniej spełnił wszystkie polecenia pryncypała, dawszy poprzednio *odkosza* rozmiłowanej w nim *à perdu la raison* pokojówce.

OBRAZ II.

Ponieważ w tym czasie skradziono bankowi angielskiemu 2 miliony franków, należało wykryć złodzieja, dla odzyskania pieniędzy i ukarania śmiałego winowajcy. Policya angielska rozesłała agentów swoich na wsze strony. Jeden z nich niejaki Fix dotarł aż do kanału Suezkiego, by tam czatować na ptaszka, gdyby mu się zachciało tędy obrać drogę ucieczki. Trzeba dodać, iż czcigodny Fix należał do liczby tych policmenów, którzy ścisłe spełnienie obowiązku, za prawdziwie zaszczyt sobie uważają. To też Fix za każdem przybyciem okrętu, zacierał rączki w nadziei ujrzenia oczekiwanego gościa. Lecz dotąd żadna twarz nie odpowiadała rysopisowi, jaki im dostarczono. Opatrzność atoli czuwała nad Fixem i położyła koniec jego oczekiwaniom. Okręt nowy przybija, nastaje uroczysta chwila dla Fixa i ukazuje się na lądzie jakiś człowiek. Człowiekiem tym jest Passepartout. Fix mu się przygląda, lecz... nie, to nie ten, odpowiada sobie.

Przepraszam pana, odzywa się doń Passepartout, racz mi pan dobrodziej powiedzieć, gdzie tu wizują pasporty?

— Aha, pasporty, pokaż no go kochaneczku, ja cię zaraz doprowadzę, i uczynny agencik wyczytuje rysopis Fogg'a zgodny z poszukiwanym przez siebie rysopisem. Aż podskoczył z radości i uściskał Passepartout. Ten ostatni ujęty uprzejmością Fixa, prosi go o zaawizowanie, a sam biegnie porobić sprawunki bielizny i innych części ubrania, odpowiednich do klimatu przebywanej strefy.

Nadmienić tu wypada, że działo się to w miesiącu Październiku, to jest w czasie, kiedy zima w Anglii na dobre się zaczęła, co wszakże nie przeszkadza, ażeby w okolicy kanału Suezkiego i dalej na południu, słońce nie miało dopiekać. Nasi więc podróżnicy wyruszywszy z północy w futrach, musieli oczywiście na południu przywdziać coś w rodzaju nankinów i słomianych kapeluszy. Zaznaczywszy to maleńkie objaśnienie, czemprędzej wracamy do naszych bohaterów, ponieważ oto ukazuje się Mustafa-pasza gubernator Suezu w czerwonej fezie i o czarnej brodzie.

— Możeby Wasza Ekscelencya raczyła rozkazać aresztować *gentelmana* Fogga, któr y przybył tym oto okrętem, prosi uniżenie Fix.

— A to dla czego? zapytuje pasza.

— Bo to jest właśnie złodziej, który skradł bankowi 2 miliony.

— A jesteś pan pewnym tego?

— Jak najpewniejszym, rysopis bowiem się zgadza co do kropki.

— Nie mój panie, ja nie mogę uczynić tego, bez przeprowadzenia korespondencyi dyplomatycznej z rządem Jej Królewskiej Mości, królowej angielskiej.

— Więc mi tego Wasza Ekscelencya odmawia.

— Tak jest.

— W takim razie biegnę telegrafować do Londynu, ażeby przysłano depeszę, upoważniającą do przytrzymania ptaszka.

Nasz pasażer Fogg byłby więc spokojnie przesiedział sobie półtory godziny nad brzegiem Suezu, oczekując na naładowanie parowca węglem kamiennym, gdyby nie licho nadało, że pewnemu Amerykaninowi, nazwiskiem Corsican, zachciało się być członkiem Ekscentric-klubu. Jako swą kwalifikacyę na członka przedstawił Corsican to, że obszedł tyłem całe morze Czarne naokoło. Fogg uważał kwalifikacyę tę za niedostateczną i oświadczając, że gdyby Corsican oskakał na około to morze, w takim razie byłby godnym zostać członkiem tak znakomitego klubu, — wrzucił na balotowaniu czarną gałkę do urny wyborczej, która spowodowała odmowną odpowiedź. Na tę odpowiedź niecierpliwy Amerykanin oczekiwał u brzegu Suezu i oczekiwał nie napróżno. Parowiec bowiem, który miał zaszczyt wieźć Fogga, wiózł zarazem niezbyt pożądaną dla Amerykanina odpowiedź klubu angielskiego, która doprowadziła Corsicana do wściekłości, tem więcej, iż jakby dla ironii spostrzegł tego samego Anglika, który śmiał z taką obojętnością podać mu czarną pigułkę.

— Czy mam zaszczyt witać *mister* Fogga? zapytuje Corsican, zatrzymując naszego *gentelmana.*

— We własnej mojej osobie mister...

— Jestem Corsican, Amerykanin, nieprzyjęty kandydat do Ekscentric-klubu, którego pan jesteś prezesem.

— No więc cóż z tego? *mister* Corsican.

— Więc to pan wrzuciłeś czarną gałkę?

— Yes *mister* Corsican.

— Zatem *mister* Fogg, pałam zemstą do pana i chcę mieć zaszczyt naszpikowania go szpadą, aby potem kazać was wypchać. To może nada mi lepszą kwalifikacyę na członka Ekscentric-klubu.

— Zapewne, odpowiada sztywny Anglik, gdyby się to panu udało, niewątpliwie byłbyś przyjętym...

— A więc *mister* Fogg, będziemy się bić na szpady.

— Służę panu *mister* Corsican. Lecz spiesz się pan, bo za 20 minut parowiec odpływa, a ja muszę na termin objechać ziemię i nie stracić miljona.

— *Mister* Fogg, mnie się zdaje, że żywym pan tego nie dokonasz.

— *Mister* Corsican, straciliśmy 4 minuty czasu, zatem pozostaje jeszcze szesnaście. Spieszmy się.

— Spieszmy *mister* Fogg, potakuje Corsican, podążając za swoim przeciwnikiem na miejsce pojedynku, który dla Fixa był pod pewnym względem pożądanym,

— Tak, rzecze czcigodny agent policyjny, tak panie Passepartout, chciałbym, żeby twój pan był lekko ranny w nogę, ułatwiłoby mi to przynajmniej zatrzymanie go do czasu nadejścia polecenia rządu angielskiego do aresztowania.

— Co, co pan mówisz?

— A tak, mówię ci pod sekretem, że pan twój skradł dwa miliony z banku aegielskiego

— A ty łotrze, co ty mówisz na mojego pana, ja cię tu zaraz zamaluję.

W odpowiedzi na to agent pokazał zdziwionemu Passepartout, swoję kartę policyjną.

— Toś ty taki ptaszek, zawołał sługus na to, poczekaj będę ja cię miał na oku.

— A ja, rzecze Fix, pojadę za wami wszędzie i będę jeździł ciągle, dopóki nie przydybię jegomości i nie oddam w pewne ręce.

Anglik miał bardzo dalszą podróż na sercu, bo przed uderzeniem dzwonka okrętowego załatwił się z pojedynkiem — tak, że na dany znak znaleźli się na parowcu wszyscy, a najpierwszy Fix. Amerykanin, otrzymawszy od Fogga pchnięcie szpady w rękę, puścił się także wraz z nimi, ażeby jak mówił, dopóty pojedynkować się z gentelmanem, dopóki go nie zabije i nie wypcha szanownego prezesa Excentric-klubu, aby pozyskać kwalifikacyę na członka tego znakomitego towarzystwa.

OBRAZ III i IV.

— A niechże cię wszyscy djabli porwą, woła Passepartout, dostaliśmy się do tej leśnej krainy Indyjskiej, ale jak się stąd wygrzebiemy to nie wiem. Okręt licho wzięło, trzeba będzie przez te nie znane wędrować knieje. A oto jakiś turek czy żyd indyjski wlecze się tutaj. Hej, hej przyjacielu, przyjacielu, zaczekaj!

— Jak się pan dobrodziej ma, panie Passepartout, wita niespodzianie naszego lokaja agent policyjny.

— A pan co za jeden, aha już sobie przypominam, to pan byłeś wtedy.... Skądeś się się pan tu wziął u kaduka?

— A co, przecie jechałem z wami.

— Ej ptaszku, nie właź ty mi w drogę, bo ja cię nauczę...

— Cicho łotrze! tracić z tobą czasu nie myślę, bo oto nadchodzi właściciel słonia, odpowiada Fix, zwracając się do Indyanina, którego Passepartout nazwał żydem indyjskim.

— Co chcesz człowieku za wynajęcie słonia?

— Poszedł, wrzeszczy Passepartout, odpychając Fixa, ten słoń dla mego pana. Tu wszczęła się kłótnia między lokajem a agentem, która zakończyłaby się niewątpliwie bójką, gdyby nie nadejście Fogga z Amerykaninem, znowu ranionym pchnięciem szpady, lecz tym razem w nogę.

— Ja kupię od ciebie słonia, rzecze Fogg.

— Nie sprzedam, odpowiada właściciel.

— Dam dziesięć tysięcy franków.

— Nie sprzedam.

— Dwadzieścia.

— Nie sprzedam.

— Trzydzieści.

— Nie sprzedam, odpowiada ze drżeniem.

— Dam czterdzieści tysięcy franków.

— Pan byś dał tyle, zapytuje zdziwiony właściel.

— O to są pieniadze, rzecze Fogg wręczając banknoty.

Ogólne było zdziwienie, a najbardziej Fix się ździwił i zawołał połgłosem: „mój Boże, takie piękne pieniądze banku angielskiego w ręku tego łotra i on tak niemi szasta.“

— Tak, tak mój przyjacielu, woła lokaj z uśmiechem, klepiąc po ramieniu agenta, mój pan zawsze taki, pieniążków nam nie brak...

— Słoń do pana należy, rzecze przewodnik, lecz nie oddam go wcześniej, aż po 12-ej godzinie w nocy.

— A to dla czego?

— Bo się ma odbyć obrzęd pogrzebowy żyjącej wdowy po braminie Rajahu. Księżnę tę mają spalić na stosie.

— Panowie! zawołał Fogg, słyszycie co on mówi. Nie pozwólmy na to. Pomyślmy aby tę biedną uwolnić z rąk barbarzyńców.

— Uwolnić ją, woła Passepartout.

— Uwolnić, krzyczy Amerykanin, dobywając rewolwera.

— Ależ pan jesteś raniony w nogę, mister Corsikan...

— Nic nie szkodzi mister Fogg; dam sobie radę i będę miał dość siły aby pojedynkować się z nów z panem.

— Bardzo chętnie, mister Corsikan.

— Ato złodzieje ci rabini czy bramini, ażeby palić wdowy żywcem. No proszę jaki to głupi zwyczaj. U nas co prawda palą się też wdówki po śmierci mężów, ale po to tylko by drugiego męża złapać, zakonkludował Passepartout.

Ponieważ czas posuwa się niepowstrzymanym biegiem, więc i oczekiwana przez naszych pasażerów północ nadeszła.

Już zgromadzeni bramini pod przewodnictwem wielkiego bramina, odbywają procesyę z zapalonemi pochodniami; już dziewice przybrane w kwiaty, podążają by oddać ostatnie pożegnanie biednej księżnej; już stos się pali siarczystym żarem i czerwonym płomieniem; już przyprowadzają ofiarę na słoniu, rzeczywiście na słoniu, na wielkim afrykańskim słoniu, z dużemi uszami i wielką trąbą — (kto nie wierzy, niech się przekona w Alkazarze); już nakoniec rozłączają księżnę z jej wierną towarzyszką, i już mają ją wrzucić w syczące płomienie, gdy w tem wpada anglik Fogg amerykanin Corsican i francuz Passepartout.

Dwaj pierwsi strzelają z rewolwerów, ubijają kilku braminów, niby kilka dzikich kaczek na stawie, ostatni przybrany w suknie nieboszczyka Rajaha, wpada między pozostałych, którzy myśląc że to nieboszczyk wstał z grobu, padają na ziemię. Rzecz naturalna, że w popłochu łatwo było pochwycić księżnę, wsadzić ją na słonia i drapnąć.

Wszystkiego tego nasi odważni pasażerowie zręcznie też dokonali. — Agent zaś przedsięwziął dalszą podróż sam jeden.

OBRAZ V.

— Nareszcie wytchniemy trochę w tej lesistej ustroni, rzecze lokaj do siebie, bośmy się djablo zmachali, uciekając z naszą zdobyczą. Piękna bo to zdobycz, piękna aż ślinka leci. Oho, mój pan ma gust.

— Passeportout! woła Fogg, pilnuj księżnej, bo omdlała i potrzebuje spoczynku. Ja pójdę poszukać źródła, aby ją wodą orzeźwić.

Passepartout okrył piękną księżnę czerwonym kaftanem nieboszczyka Rajacha i wkrótce także poszedł szukać wody słodkiej.

Pod tę nieobecność wspaniała małpa, rzetelna małpa, w lekkich i zręcznych podskokach wybiegła z kniei, ku niepohamowanej niczem uciesze widzów, i zdarła z księżny czerwony kaftan. Przebudzona księżna uciekła w las, gdzie prawdopodobnie anglik zaraz ją odnalazł.

Ze swej strony małpa zmykając, zgubiła po drodze kaftan czerwony, który widocznie jej się podobał, bo za chwilę powróciła za nim powtórnie. Ale kaftan ów tym razem nie na barkach księżnej, lecz na korpusie agenta policyjnego spoczywał. Fix bowiem w sukniach jednego z braminów, podążał za prezesem Excentric-klubu i legł tu aby odpocząć chwilę; przeszkodziła mu jednak małpa, zdzierając zeń nieszczęsliwy kaftan czerwony. Rozpoczęła się walka między małpą a agentem policyjnym, zakończona stratą przez ostatniego buta, zdartego mu z nogi przez małpę. Zresztą i małpa jak i agent spłoszeni zostali przez pasażerów, którzy sądzą, iż ich gonią bramini, podążali śpiesznie do Kalkuty.

OBRAZ VI.

Nareszcie dotarłszy do Kalkuty po wielu a wielu trudach, podróżnicy nasi uspokoili się co do pogoni braminów za sobą, a tem samem co do bezpieczeństwa całości porwanej księżnej, która obecnie wypoczywa sobie w wygodnym pokoju.

— Ach jakąż ci wdzięczność winnam, mistres Fogg, za wydobycie z płomieni, odzywa się księżna, robiąc śliczne oczki do gentelmana.

— To bagatela milady, odpowiada prezes Excentric-klubu. Ale teraz niebezpieczeństwo minęło, gdy jesteśmy w Kalkucie, trzeba będzie odszukać twych krewnych milady, ażeby cię pozostawić w porządnym ręku. Passeportout! idź, poszukaj na mieście krewnych księżnej.

Passeportout z wielką niechęcią spełnił rozkaz pana, bo myślał że księżna pojedzie do Anglji, i że jego pan z nią się ożeni, a on będzie miał piękną panią. Cóż chcecie łaskawi czytelnicy i służba może mieć dobry gust i swoje upodobania.

— Mister Fogg! rzecze Amerykanin.

— Mister Corsican, odpowiada Anglik, spoglądając nań z niewzruszoną obojętnością, cechującą od stóp do głów tego gentelmana.

— Mister Fogg! powtarza Amerykanin, chcę panu oświadczyć, że już dalej nie jadę i pozostaję w Kalkucie.

— A nasze pojedynki mister Corsican, przecież masz mię pan naszpikować. Nie sądzę ażebyś się pan chciał tak prędko pozbyć tak sympatycznego projektu.

— Czy kpisz ze mnie mister Fogg?

— Nigdy i nigdzie z nikogo nie kpię mister Corsican; chciej o tem na zawsze wiedzieć.

— Więc i pan chciej wiedzieć, że porzuciłem już projekt wypchania pana.

— A to dla czego?

— Dla tego, że bijąc się z panem ubliżam sobie bardzo.

— Mister Corsican! ostrożnie z wyrażeniami...

— A gniewaj się pan, lub nie, to mi wszystko jedno zupełnie, obstaję przy swojem.

— Mister Corsican!

— Mister Fogg! Trzy razy pojedynkowaliśmy się, i trzy razy otrzymałem od pana pchnięcie a zawsze w inne miejsce. Czy pan u djabła chcesz mnie utatuować? Dosyć już tego, bij się panz kim innym, bo mnie wstyd doprawdy, żeśmi darował trzy razy życie, kiedy mogłeś za każdym razem przedziurawić na śmierć moje amerykańskie ciało. Nie chcę dłużej doświadczać pańskiej grzeczności, bo to zakrawa mina obelgę.

Ta racya amerykańska była bardzo na rękę naszemu gentelmanowi i już mógłby był bez przeszkody puścić się w dalszą podróż, gdyby nie spotkała go owa fatalność, wisząca jak miecz Damoklesa nad jego głową, od chwili wjechania na kanał Suezki. Czychała ona na miljon zakładowy prezesa Excentric-klubu, stawiając mu na drodze coraz to nowe niespodzianki.

Już Passepartout powrócił z miasta w towarzystwie przyjaciółki księżnej, z którą się rozłączyły w owej nieprzyjaznej chwili oczekiwania płomiennego stosu — już Passepartout oświadczył swemu panu, że wprawdzie znalazł i krewnego jakiegoś, ale ten przyjść nie miał czasu, bo zajęty jest silnie operacyą giełdową — już księżna zdecydowała się jechać do Anglii z gentelmanem i przyjaciółką swoją, co chętnie przyjętem zostało przez naszych podróżników — już i Amerykanin Corsican, powziął zamiar w skutek takiego postanowienia dam, pojechania także z nimi — już nareszcie nadszedł czas wyruszenia w dalszą podróż, do której wszyscy bardzo skwapliwie się przygotowali... gdy wtem wchodzi przedstawiciel sprawiedliwości w osobie sędziego Trybunału Kalkuckiego, w towarzystwie dwóch pachołków sądowych, prawne przymioty posiadających oraz w towarzystwie Fixa, przebranego za bramina.

— Niech będzie uczczon wielki brama, rzecze szanowny agent policyjny, wznosząc obie ręce do góry na sposób indyjski... Oskarżam tego człowieka o porwanie księżnej i ubicie kilku braminów...

— Czy szanowny gentelman nie masz nic do nadmienienia przeciwko temu oskarżeniu, zapytuje piskliwym głosem sędzia.

— Tak jest, odpowiada Fogg, porwałem tę panią, aby ją wydrzeć z płomieni, w które wtrącić ją chcieli barbarzyńcy bramini—hańbą bowiem jest, ażeby w czasach dzisiejszych barbarzyński zwyczaj palenia wdów na stosie mógł być tolerowanym.

— Zastanówmy się, powiada piskliwym głosem sędzia. Obecny tu i przytomny gentelman, obronił od płomieni tę panią, więc postąpił sobie bardzo szlachetnie, to jednak że ją porwał przemocą i zabił przytem kilku braminów, jest czynem podlegającym oskarżeniu... Zatem obecny tu i przytomny gentelman, zatrzymać się raczy w Kalkucie do czasu zawyrokowania w tej sprawie Trybunału Kalkuckiego...

— Tak, tak, woła agent policyjny, zatrzymać się musi...

— Ależ ja koniecznie potrzebuję dalej jechać panie sędzio, rzecze Anglik.

— Jedź szanowny mister, odpowiada sędzia, ale nie prędzej, aż po wyroku Trybunału...

— Kiedyż ten wyrok być może?

— Rzecz to względna, może za rok, może trochę później.

— To ja nie mogę czekać i podam inny punkt wyjścia. Ponieważ oskarżonemu przysługuje prawo złożenia kaucyi na zabezpieczenie swojej osoby, więc chcę korzystać z tego prawa. Racz więc pan powiedzieć, ile mam złożyć pieniędzy?

— Sto tysięcy franków, mister.

— Na szczęście pan Fogg był na tyle przezornym, że wziął ze sobą cały miljon, mógł więc spełnić żądanie, wypłacenia sto tysięcy franków, co też i uczynił.

Sędzia odebrawszy pieniądze, oświadczył, że szanowny gentelman jest już wolny, ponieważ sprawiedliwość została zaspokojoną.

Podróżnicy znowu tedy puścili się w dalszą drogę, ku wielkiej rozpaczy agenta policyjnego.

OBRAZ VII.

Że wyspa Borneo była siedliskiem wspaniałych okazów rodziny orangutangów, to wszyscy z Zoologii, wiedzieli dobrze o tem, ale *Podróż na około ziemi* wykazała, że oprócz tych małp, znajdują się tam i straszliwe węże syczące.

Podróżnicy nasi w pochodzie swoim dostali się na to urocze schronienie małp i wężów. No, zresztą i nie ma się czemu dziwić, tędy im widać wypadła droga.

Fatalność mieć chciała, że obie damy, księżna i jej przyjaciółka były straszliwie znużone. Mężczyzni więc z obowiązku galanteryi, postanowili im wynaleźć jakie ciche miejsce, w guście niby porządnego hotelu. Lecz wyszukanie rzeczywistego hotelu w krainie małp, zakrawałoby na ironję, co też zrozumieli ci panowie, i zdecydowali się obrać dużą i poważną grotę na miejsce chwilowego spoczynku pań swoich. Uskuteczniwszy to Anglik z Amerykaninem, wyszli na chwilę, pozostawiając Passepartout na straży przy spoczywających. Passepartout wszakże chcąc także być uprzejmym dla piękności, postanowił przynieść drzewa do groty, ażeby ogrzać i rozweselić ciche i skromne pustkowie.

Gdy wybiegł po owe drzewo, powstał na raz straszliwy syk. Damy zerwały się z miejsca i z przerażeniem ujrzały gromadę wężów wydobywających się ze wszystkich szpar i zaułków groty, które z rozwartemi pyskami a wydobytemi na wierzch czerwonemi językami zbliżały się ku niem. I byłyby węże owe bez pardonu pożarły piękne córy Ewy, gdyby Opatrzność nie zesłała im w tej fatalnej chwili wyswobodzicielek w osobach indyjskich westalek, które uśmierzyły potworne gadziny i zmusiły do odwrotu.

Tak ocalone panie połączyły się nareszcie z szanownym gentelmanem i jego towarzyszami, ażeby czemprędzej opuścić obrzydłą wyspę i dotrzyć na okręcie na inną część świata, t. j. do San-Francisco. (d. n.)

HURTOWNICY AMERYKAŃSCY.

(PRZEKŁAD Z ROSSYJSKIEGO.)

(Dalszy ciąg).

Cóż zrobić w położeniu tak trudnem?... Możeby Jan poddał się woli ojca, odkładając żeniaczkę do czasu bardziej sprzyjających okoliczności, ale próżność i egoizm nie pozwalały na to.

. . . .

Słyszał Jan kiedyś o Ameryce, słyszała o niej i Olga, a wyobrażali ją sobie oboje jako krainę mlekiem i miodem płynącą—Byle się tam dostać, już o biedzie nie ma mowy. Ale jakże się dostać, kiedy na przejazd we dwie osoby, potrzeba mieć przynajmniej 500 rubli, a zakochani 50 kopiejek nie mieli razem przy duszy?...

Powiedziano atoli: „kto szuka ten znajdzie“ i że powiedziano prawdę, Olga przekonała się niebawem.

W pobliżu o mil kilka mieszkał zamożny obywatel, którego syn, jedynak ukochany, za przestępstwo jakieś mógł się na ciężką narazić odpowiedzialność. O przestępstwie tem trzymanem oczywiście w tajemnicy największej, wiedział przypadkiem jeden tylko Jan a Olga od Jana.

Dziewczyna podstępnie bez wiedzy kochanka, postanowiła z wypadku skorzystać.

Pod pozorem że chce odwiedzić ciotkę, otrzymała od ojca pozwolenie na wyjazd i zamiast do ciotki, w sekrecie udała się do owego obywatela.

Przedstawiwszy potrzebę swoję, zapewniając, że za otrzymane pieniądze wyjedzie z przyszłym mężem swoim do Ameryki, i że, gdyby prośbie jej zadość nie uczyniono, poda doniesienie do władzy—otrzymała 1,000 rubli żądane, w dziesięciu storublowych papierkach.

Prawie nieprzytomna z radości, wybiegła Olga z pańskiego mieszkania, ale zastanowiła się potem niebawem. Toć pieniądze te potrzeba rozmienić. A skąd mogła mieć ona papiery tak grube?... Wróciwszy do dworu poprosiła o przemianę rubli dwustu na drobne, a gdy i pod tym względem spełniono jej życzenie, teraz dopiero cwałem popędziła do ciotki o wiorstę stąd zamieszkałej.

Przenocowawszy u krewnej, Olga nazajutrz składając się pilną w domu robotą, najęła podwodę i powróciła do siebie. W czasie tej podróży, że zwłaszcza kiepska szkapina wlokła się noga za nogą, miała czas nad wielu zastanowić się rzeczami. Ale najbardziej zamyślała ją ucieczka z Janem do Ameryki, którą sobie wystawiała była obecnie jako rzecz trudną i prawie niepodobną do wykonania.

Dziwna rzecz, refleksye opanowały ją dopiero gdy miała w ręku środki do spełnienia zamiarów. Ale bo czy prawda iż w Ameryce tak dobrze?... Chociaż ci co ich zapewniali o tem, kłamać nie mieli potrzeby, to zawsze jak tam jest, jednemu Bogu wiadomo.

Za pieniądze jakie posiada, jakżeby wygodnie tu na miejscu mogli się urządzić z Janem, gdyby tu mogli cudem jakim połączyć się ze sobą? Czy nie należałoby starań jakich w tym kierunku przedewszystkiem rozwinąć? Ale gdy biedy się narobi?

Uciekać z domu i lecić Bóg wie dokąd, widok to nieświetny także, bo kto wie co przyszłość w sobie kryje. Dziś Jan kocha ją szczerze i ojca dla niej porzucił, ale czy można liczyć na stałość mężczyzny?... Toć ten sam Jan pomimo przysiąg, że ją nad świat cały przenosi, nieraz dobrze zerka za innemi. A nuż zakocha się w kim w Ameryce, co ona biedna wtedy z sobą pocznie. Jechać więc czy nie jechać? Te i tym podobne uwagi cisnęły się do głowy Oldze. O rozstaniu się z domem, z rodziną nie myślała wcale. Matka tylko jedna czasem jej w myśli stanęła. Ależ z matką wcześniej czy później rozłączyć się potrzeba, to zwykły los córek wychodzących za mąż. Skłopotana Olga nie mogła zdecydować się na krok stanowczy, nie wiedziała co począć. Pod jednym tylko względem powzięła postanowienie. Ponieważ 1,000 rubli miała przy sobie, a na podróż najwyżej połowy było potrzeba, przyzna się Janowi do 600 rubli, a resztę na przypadek wszelki zachowa przy sobie.

Doszedłszy nareszcie do domu, opatrzyła się przedewszystkiem czy ma pieniądze zawiązane w róg chusteczki i schowane za pazuchę, zapłaciła za podwodę i weszła do karczmy. Wcale nie pociągająca scena przedstawiła się tutaj jej oczom. Ojciec podpił sobie pod jej niebytność i swoim zwyczajem rozbijał matkę i siostry. I jej—gdy próg zaledwie przestąpiła, dostała się też porcya nie mała za próżniactwo i wyjazdy w gościnę wtedy, kiedy w domu robota największa. Na nic nie przydały się tłomaczenia, owszem na złe wyszły. Podjuszony karczmarz uniósł się i pobił córkę jak nigdy. Razy ojcowskie przyjmowała była Olga obojętnie, ale dziś szczególnie jakoś wydały się jej one krzywdzącemi.

W tej chwili owo być lub nie być, to jest, jechać do Ameryki czy nie jechać, zostało roztrzygnięte stanowczo. Upatrzywszy chwilę stosowną, Olga pobiegła do Jana z zawiadomieniem że ma pieniądze i że bezwarunkowo i bez żadnej zwłoki jechać chce do Ameryki. Jan nie sprzeciwiał się ani chwili, owszem nie posiadał się także z radości, i młoda para zaczęła najświetniejsze zamki budować na lodzie.

Wrzaski pijanego karczmarza, otrzeźwiły narzeczonych i przypomniały im, że nie w Ameryce lecz w stodole się znajdują. Wypadało pomyśleć teraz, jakim sposobem wysunąć się niepostrzeżenie — i w którą udać się stronę aby zmierzać ku Ameryce.

Jan słyszał, że przed dostaniem się do Ameryki potrzeba umknąć za granicę, ale stanowczo nie wiedział jak tego dokonać. A przecież potrzeba mieć pasport, bo akurat gdzie uchwycą, a skąd wziąść tego pasportu?

Długo łamiąc głowy nad temi ciężkiemi zadaniami, młodzi ludzie doszli nareszcie do takiego wniosku. Olga pozostanie w karczmie i pozbiera cichaczem swoje manatki, a Jan gdy się ściemni, uda się do niedalekiej karczmy żydowskiej.

Żyd Boruch, był kiedyś jego przyjacielem, i na pewno rady dobrej nie odmówi. A że Boruch wie wybornie jak postąpić w okolicznościach podobnych, to więcej jak pewno, toć żydem on nie na darmo.

Olga dała Janowi pięćdziesiąt rubli na te pierwsze wydatki, a resztę zachowała u siebie; Rzeczywiście Boruch udał się do miasteczka powiatowego i załatwił wszystko jak nie można lepiej, dostał bowiem pasport na imię jakiegoś mieszczanina z żoną. Jan widywał nieraz w domu ojca pasporty, i wiedział za jakiemi świadectwami można zamieszkiwać w Rossyi. Rozpatrzywszy wyjedany przez Borucha dokument, przekonał się, że rysopis był podobny bardzo, a podpisy i pieczęć w porządku tak wielkim, iż najwybrydniejszy gust nic nie mógł mieć przeciw pasportowi. Boruch przytem dostarczył Janowi szczegółową do samego Hamburga marszrutę, z oznaczeniem miast w których potrzeba kupować bilety na drogę żelazną, i cenę ich w monecie rossyjskiej.

Doczekawszy wieczoru, Jan w towarzystwie Borucha, który się podjął odstawić zbiegów na najbliższą stacyę kolei, podjechał pod karczmę ojca Olgi i świśnięciem dał znać kochance, że na nią oczekuje. Podczas gdy Jan załatwiał sprawy z żydkami, nie próżnowała też Olga i całą chudobę swoję, a pomiędzy innemi obrazki, które dziś zdobią ściany wenty; spakowała w kuferek i ten wystawiła do sieni. Idąc spać do komory powiedziała, że raniutko do dnia pójdzie do rzeki uprać sobie bieliznę, że zabawi nieco dłużej, niechaj zatem nie turbują się o nią wcale. Posłyszawszy sygnał Jana, Olga otworzyła przymkniętą na noc sionkę, Jan zabrał kufer i wpakowawszy się oboje na furmankę Borucha, drapnęli co konie wyskoczą. Nie żałowała dziewczyna miejsc w których młodość spędziła, przyszłość uśmiechała się doń rozkosznie.

Bez przykrości żadnych dostali się do granicy, raz bowiem tylko skóra na obojgu zadrżała, a stało się to wtedy, gdy na jednym przystanku, rosły żandarm z ogromnemi bokobrodami, zażądał okazania sobie pasportów. Dotąd było im nie miło na sercach, dopóki oficer jakiś czy urzędnik, trzymając bilety ich w ręku coś na nich odnotowywał. Ale gdy pierwsza rewizya udała się szczęśliwie, dalsze już nie były tak straszne.

Mając szczegółową marszrutę, wiedzieli jak się dostać do Hamburga, ale że znali tylko język polski i ruski, mogliby popaść w położenie nie bardzo miłe, gdyby nie los szczęśliwy. W wagonie już zauważyli dwu mężczyzn mówiących po polsku, i dowiedzieli się niebawem iż młodzi ci ludzie także ku Ameryce zmierzają. Z językiem niemieckim i listami polecającemi do różnych osób za granicą, młodzi ci byli w nieporównanie lepszem jak Jan i Olga położeniu. Dziewczyna pojęła to odrazu, i rozgadawszy się, tak jakoś potrafiła rzeczy postawić, że postanowiono jechać do Ameryki razem.

W Hamburgu czwórka nasza zatrzymała się u jednego z Polaków, utrzymującego dom zajezdny, który chętnie ułatwił im wszystko i tak pośpiesznie, że zaraz nazajutrz udali się w drogę.

Wielkie miasta niemieckie, pola starannie uprawne i bujnem pokryte zbożem, zrobiły na Oldze wspaniałe wrażenie i przedstawiała sobie, że ludziom tu łatwiej już daleko niż w Rossyi, a gdy w dodatku dowiedziała się że i stąd bardzo wielu co rok przenosi się do Ameryki, uwierzyła, że w Ameryce czeka ich los najświetniejszy. Różowe nadzieje nie opuszczały jej podczas podróży na oceanie i dodawały sił do zniesienia choroby morskiej, która i nią i Janem zawładnęła bardzo silnie.

Nareszcie po przybyciu okrętu do New-Yorku, wysadzono podróżnych w Castel-Garden i zapytano gdzie dalej udać się zamierzają. Nasza czwórka oświadczyła, że zatrzyma się czas jakiś w New-Yorku, aby się rozpatrzyć i zastanowić. Odszukawszy pewnego Polaka, do którego dwaj owi towarzysze z wagonu, mieli list rekomendacyjny, a który na Battery Place utrzymywał hotel; emigranci pomieścili się u niego. Wypoczywszy po długiej podróży, Olga poczęła się rozpatrywać w otoczeniu. Hałas i ruch uliczny, z czem nie spotykała się nigdy pierwej, wywierały na nią wpływ jakiś odurzający. Oswoiwszy się i opatrzywszy się nieco, Olga ze zwykłą przenikliwością kobiecą, zauważyła odrazu to wszystko, z czem po pewnym dopiero czasie zaznajamiają się emigranci.

Po za ludźmi ubranymi z pańska i przesuwającymi się po ulicach, dostrzegła te osobistości nieszczęśliwe, gnieżdżące się w uliczkach bocznych i zaułkach — wstydzące się swoich łachmanów i pod sam dopiero wieczór z ciemnych, brudnych i wilgotnych nor swoich wylegające. W najlepszej więc Ameryce nie wszystkiem najlepiej idzie — skoro o nędzy, jakiej tu dopatrzyła, nie miała najmniejszego pojęcia.

Gospodarz u którego zatrzymali się podróżni nasi, człowiek uczciwy i prawy objaśnił ich, że w Ameryce dobrze jest człowiekowi pracowitemu i ekonomicznemu, ale próżniak napewno umrze tu z głodu. Objaśnił także, że emigranci nie znający języka angielskiego, w początkach narażą się na przykrości znaczne i że gdy chcą zyskać grunt pod nogami, muszą zaniechać przedewszystkiem wszelkich nawyknień europejskich.

Olga odczuła prawdę w tej sumiennej poradzie. Inaczej na rzeczy patrzyli mężczyźni młodzi. Posłyszawszy, że najzwyczajniejszy robotnik pobiera tu wysokie bardzo za dzień wynagrodzenie, z właściwą przybyszom zarozumiałością byli pewni, że ich, zajmujących w swym kraju stanowiska znacznie wyższe, przyjmą wszędzie z otwartemi rękami, i uważali swoję przyszłość za zupełnie zabezpieczoną. Dwaj towarzysze Jana i Olgi, z góry swą dobrą przeceniając dolę, pozwalali sobie na wybryki różne, i lekkomyślnie puszczali pieniądze. Jan przystał był do nich z początku lecz następnie, chociaż z niewielką ochotą usunął się ulegając wpływowi Olgi. Chciał wyszukać sobie jakiego zajęcia...

Jako syn administratora majątku, nie umiał ma się rozumieć żadnego rzemiosła, do prac ciężkich nie przywykł, a nie znając języka, o pracy lżejszej jakiejś, ani śmiał marzyć nawet. Cały tydzień z ogłoszeniami gazeciarskiemi w ręku, biegał po mieście i biegał najzupełniej napróżno. *(d. n.)*

ROZMAITOŚCI.

Społeczne.

— Przy sądach okręgowych mają być ustanowione posady stenografów; na posady te będą mogły być podobno mianowane kobiety.

— Urzędnicy Izby skarbowej piotrkowskiej powzięli zamiar urządzenia kassy wkładowo-pożyczkowej. Odpowiednia ustawa przedstawioną będzie do zatwierdzenia władzy, a ułożeniem takowej zajmuje się p. Feliks Łotocki Urzędnik Izby.

— Towarzystwo jedwabnicze krakowskie donosi, że po trzechletniem doświadczeniu, najmniejszej nie ma wątpliwości, iż hodowanie jedwabników dębowych chińskich, w Galicyi, na obszerną skalę może być prowadzone. Jedwabniki te wydają w ciągu lata dwa pokolenia, gdy jednak wychów drugiego pokolenia przeciąga się ku jesieni, i od przymrozków wcześnie nastających gąsiennice giną, wśród takich warunków klimatu należy więc poprzestać na wychowie pierwszego pokolenia, który wypada w miesiącu czerwcu. Gdy gąsienice z pierwszego pokolenia oprzędą się i w poczwarki przemienią, aby motyle w nich nie rozwijały się, oprzędy z poczwarkami żywemi przechowują się w koszykach w piwnicy zimnej lub lodowni, aż do wiosny następnego roku, i gdy do izby ciepłej przeniesione będą, wylęgają się z nich motyle i jajka znoszą.

— W dniach 26, 27, 28 i 29 września r. b. urządzoną zostanie przy Zarządzie Retowskiego Oddziału Ruskiego Towarzystwa Opieki nad zwierzętami, w dobrach książąt Ogińskich Retowo, gub. Kowieńskiej, pow. Rossieńskiego, wystawa rolnicza zwierząt domowych wszystkich gatunków, płodów ziemnych, narzędzi i maszyn rolniczych i w ogóle wszystkich przedmiotów używanych w rolnictwie, ulepszonych z celem ulżenia pracy zwierząt domowych, urządzeń gospodarskich i budowli przygotowanych dla polepszenia bytu zwierząt. Udział w tej wystawie przyjąć mogą wszyscy rolnicy, dzierżawcy i włościanie Kowieńskiej i sąsiednich z nią gubernij. Przysyłane na wystawę okazy, winny być dziełem samych exponentów, to jest, zwierzęta swego chowu, odkarmione z młodości, rośliny pochodzić winny z roli przesyłającego i t. d. Przyjmowanie okazów rozpoczęło się od dnia 13 czerwca do 15 września, a zwierząt i rze-

czy podlegających zepsuciu, od 22 do 25 września; po za tym terminem przyjmowanie okazów ustanie. Okazy dostawione na wystawę zapisane zostaną do książki, właściciel otrzyma kwit odpowiedni, a po zamknięciu wystawy zwrócone temuż zostaną, lub też sprzedane, z zezwolenia pasiadającego kwit. przez publiczną licytacyę, na jego korzyść. Po przyznaniu przez komitet wystawy, ci z expozentów otrzymają nagrody, którzy dostawili najlepsze okazy. Nagrody te składają się z medalów, listów pochwalnych i nagród pieniężnych. Wystawa zawierać w sobie będzie następujące oddziały:

I. Zwierzęta. II. Nasiona i rośliny. III. Maszyny i narzędzia rolnicze i naczynia gospodarskie. IV. Urządzenia i budowle gospodarskie. Do oddziału I-ego zaliczone będą do konkursu: 1) Ogiery 3—8 lat, klacze 3—8, wałachy 4—9 i źrebięta, przyjmują się różnego gatunku i pochodzenia. 2) Bydło rogate, byki od 1 roku i starsze, krowy od 3 lat, ciołki od 1 roku do 3 lat, cielęta do roku. 3) Owce od roku do 5 lat, barany od roku, jagnięta do roku. 4) Świnie i kiernosy ulepszonej krajowej rassy, prosięta tychże rass; karmione świnie i wieprze. 5) Psy. jako to: charty, wyżły, ogary, pokojowce i psy podwórzowe; przyjmują się pudle i pudlice ulepszonej miejscowej rassy, a także i szczenięta. 6) Koty domowe wszystkich gatunków. 7) Drobne zwierzęta, jako to króliki. 8) Ptaki, kury, indyki, kaczki, perliki, gęsi, gołębie, pawie i t. p. wszystkich gatunków. 9) Pszczoły z całemi ulami lub modele takowych. 10) Ryby wszystkich gatunków i kształtów, z określeniem sztucznego ich utrzymania Oddział II-gi zboża; pszenica ozima i jara, żyto, jęczmień i t. d; kartofle, ogrodowe owoce; zboże dostawiać można ziarnem od 1—8 garncy, lub snopkami; rośliny pęczkami i nasion do 10 funtów; owoców do $\frac{1}{2}$ ćwierci i nasion do $\frac{1}{2}$ funta III-ci oddział narzędzia rolnicze, narzędzia do obróbki roli i oczyszczenia łąk, maszyny i narzędzia do różnych robót gospodarskich, wozy, fury, sanie i t. p., uprząż rozmaitego rodzaju, okucie koni i inne wyroby; kagańce, naszyjniki i t. p. narzędzia do czyszczenia zwierząt, (w pojedynczych egzemplarzach). IV-ty oddział—plany i modele gospodarskich budowli i urządzeń; szlachtuzy z najdokładniejszym sposobem szlachtowania bydła, psie budy, psiarnie, karmki, gołębniki rozmaitego rodzaju, klatki ptasiarnie i wszelkiego rodzaju budowle do utrzymywania zwierząt domowych.

Oprócz tego przyjmowane będą wszelkie rozprawy piśmienne tyczące się chowu i utrzymania zwierząt. Komitet wystawy zaprasza i tutejszych obywateli o wzięcie odziału w tej wystawie.

— Czytamy w „Gońcu Urzędowym": Włościanie niektórych wsi w Finlandyi uderzeni korzystnemi rezultatami osiągniętemi w sąsiednich obywatelskich majątkach, w których prowadzi się prawidłowe gospodarstwo, zdecydowali się, pisze korespondent „Gazety Rolniczej" iść za przykładem; skutkiem czego, połączywszy swoje drobne działki w jeden obszar, urządzili na nim sześciopolowe płodozmian i w ogólności wprowadzili cały ten porządek korzystnego gospodarowania, jaki możebnym jest tylko w większych posiadłościach, a niepodobny w zastosowaniu na niewielkiej przestrzeni ziemi.

Szczegóły prowadzenia tego rodzaju wspólnego gospodarstwa w jednej ze wsi finlandzkich, „Gazeta Rolnicza" opisuje w następujący sposób. Obszar, na jakim urządzono sześciopolowe gospodarstwo obejmuje przestrzeni około 30 dziesięcin. We wsi znajduję się 15 tu mężczyzn. Wszystkie narzędzia rolnicze, należące do wsi, nabyto w potrzebnym komplecie za pieniądze składkowe; również wspólnym kosztem wybudowano spichlerz z trzema oddziałami dla przechowywania zboża na zasiew, na zapas, i zboża należącego do ogólnej własności.

Pola obrabiają się, a zbiory dzielą się następnie: wszyscy dorośli mężczyzni i kobiety, również i dzieci, winni odrabiać równą liczbę dni; obowiazkiem mężczyzn jest orać, siać zwozić, młócić, rąbać drzewo i żerdzie do ogrodzeń i t. p; kobiety zaś obowiązane są bronować, żąć, sadzić ziemniaki, grodzić, pilnować bydła i t. p.; nakoniec dzieci powinny pleć, przysposabiać powrósła, zbierać z pola kamienie, zbierać chróst w lesie i wykonywać tym podobne roboty. Po zbiorach przystępują wspólnie do podziału plonów w zbożu, ziemniakach, trawach pastewnych, sianie i słomie.

Przedewszystkiem oddziela się podwójna ilość zboża na zasiew, na zapas, tak, izby w razie następnego nieurodzaju zapewniono dla wsi zboże na zasiew w drugim roku i na wyżywienie mieszkańców, pozostałą zaś ilość, przechodzącą na własność włościan, dzielą w następnym stosunku: mężczyzna w wieku lat 18, otrzymuje całą jednostkę, kobieta i dzieci do lat 15, a dziewczęta od lat 16 biorą połowę tego co przypada dla mężczyzny; chłopcy od lat 9 do 15; a dziewczęta od lat 10 do 16, czwartą część działu mężczyzny. Wszystko zboże przechowuje się w spichlerzu, lecz każdy włościanin może wziąść część swoję.

Trawy pastewne i siano po skoszeniu, wysuszeniu, oddzieleniu takiéj ilości traw ile potrzeba nasienia na odsiew i takiego zapasu siana ile wystarczy na wypadek nieurodzaju w roku następnym, również słoma i ziemniaki ulegają rozdziałowi w tej proporcyi jak zboże. Rezultaty takiego sposobu prowadzenia gospodarstwa okazują się w samej rzeczy bardzo dobre.

Bez względu na nieprzyjazne klimatyczne warunki i liche grunta, w ciągu ostatnich dwóch lat. nie tylko nie było urodzaju, (nie mówiąc już o głodzie), lecz zboże zapasowe dla braku już miejsca, musiano sprzedać, a otrzymaną gotowiznę, złożyć do kassy oszczędności. Ws e z takiego rodzaju wspólnem gospodarstwem, podług zapewnienia Gazety Rolniczej, można spotkać na drodze od Petersburga do Helsingforsu za Wyborgiem; już zdala odznaczają się one pięknie obrobionemi polami i łąkami z przepyszną roślinnością. Lecz szczególniej wyróżniają się gospodarstwa powiatu Tawasthuskiego; tu zastanawiają widza nietylko pola i łąki, lecz i bydło, to jest liczba jego i wyborny sposób utrzymania.

— W dniu 2 września 1831 r., żołnierze austryjaccy, pilnując pod Baranowem nad Wisłą, przejścia powstańców przez granicę, zabrali wóz, na którym znaleziono 12.000 złr. oraz torbę z listami prywatnemi. Przy wozie nikt się nie znajdował, gdyż prowadzący go uciekł, przestraszony wołaniem szyldwacha. Pieniądze odesłano Namiestnikowi Galicyi, ten zawiadomił Ministeryum. Książę Meternich znalazł w tej sprawie konfuzyę ministeryalną. Skarb ten bowiem nie kwalifikował się ani jako za zdobycz wojenną, gdyż Austrya wtedy nie prowadziłn wojny, nie było to także przemytnictwem, gdyż przewóz pieniędzy na każdem miejscu granicy był i jest dozwolony, nie była to również kontrabanda polityczna gdyż do konfiskaty nie było żadnej podstawy, bo prawodwstwo austryackie nie zna w ogóle konfiskaty. Na ministeryalnej więc konferencyi uchwalono uznać znalezienie tych pieniędzy, jako czysto sprawę cywilną i postanowiono summę znalezioną, zwrócić prawemu jej właścicielowi i w tym celu pieniądze jako *res desetta et per milites inventa*, złożone zostały do depozytu sądu krajowego szlacheckiego we Lwowie i poczyniono wszelkie prawne kroki do wyszukania właściciela. Zgłaszali się różni, lecz nikt praw swych nie udowodnił. Fiskus t. j. skarb państwa zrzekł się prawa swego do pieniędzy z uwagi, że żołnierze, jako znalazcy sądowi byli znani, a skarb państwa dopiero po upływie 32 lat, gdy ani prawy właściciel, ani żołnierze o własność znalezionej rzeczy dopominać się nie będą, może swoje pretensye do niej rościć. Zawiadomieni o tem żołnierze, pozwali 1843 r. nieznanego właściciela znalezionych pieniędzy o zapłacenie im 10% procentów znaleźnego—przegrali jednak w obudwóch instancyach. Kapitał ten zostaje do dziś dnia w sądowym depozycie i wynosi już z procentem około 30,000 złotych reńskich w. a. Ponieważ o te pieniądze nikt więcej się nie zgłaszał, wydał skarb państwa w r. 1867 edykt prawem kaduka. Wciągu tego terminu edyktalnego zgłosili się żołnierze o swe prawo własności jako znalazcy tych pieniędzy, skarb państwa zaś teraz obstaje przy swojem prawie kaduka. Już w dwóch instancyach skarb państwa przegrał, pomimo jednak tego zappelował. Cała ta sprawa w ostatecznem rozstrzygnieniu znajduje się w III instancyi.

— Sejm galicyjski wyznaczył 3,000 złr. na restauracyę w r. 1877, zabytków przeszłości dla tych instytucyi i kościołów w zachodniej Galicyi, które własnym kosztem tego uskutecznić nie mogą. P. J. Łepkowski, którego staraniem summa ta wyjednaną została, jako konserwator zabytków pomnikowych na Galicyę zachodnią, zamierza odnowić kaplicę Batorego, w katedrze na Wawelu, zrestaurować grób Długosza na Skałce, podtrzymać pomniki w Biczu, kończyć naprawę kaplicy Zygmuntowskiej, licząc na to, że hojność miłośników zabytków sztuki i tym razem przyjdzie mu w pomoc, jak nigdy go jeszcze nie zawodziła. W roku bieżącym w kryptach katedry Wawelskiej, czyli w tak zwanych „grobach mniejszych", stanąć ma ołtarz, na który plan w skutek zgłoszenia się p. Łepkowskiego, wykonał i nadesłał w darze słynny restaurator zabytków, architekt francuzki p. Viollet le Duc. Ołtarz ten tak jak cała krypta, jest w stylu romańskim.

— Na Wiśle pod Przyłubicami w ks. Poznańskiem niedaleko Solca, zdarzyło się w ostatnich dniach w skutek lekkomyślności straszliwe nieszczęście. Dziewięciu ludzi puściło się na Wisłę małą łódką z tratw, przeznaczoną dla tak znanych retmanów. W łódce takiej, jak wiadomo, zaledwie jeden człowiek bezpiecznie płynąć może i to przy zachowaniu wielkiej ostrożności. Łodka pomieściła i unosiła dziewięciu ludzi, ale nie można było utrzymać równowagi, wszyscy więc wypadli w Wisłę. Dwóch ludzi umiało pływać i uratowało się, dwóch innych wyratowali ludzie, którzy nieszczęście spostrzegli, a pięciu (czterech Polaków i jeden Niemiec) utonęło.

Naukowe.

— P. Aleksander Walicki współpracownik pism warszawskich, wydał pierwszy zeszyt, opracowanego przez siebie a nader pożytecznego dziełka p. t. *„Błędy naszę w mowie i piśmie, ku szkodzie języka polskiego popełniane oraz prowincyonalizmy"* O pracy tej, dziś zwłaszcza tak będącej na dobie, powiemy obszerniej we właściwej rubryce pisma.

— Zjazd przyrodników w Warszawie odbędzie się stanowczo d. 31 Sierpnia (12 września) r. b.

— Korespondent z San-Francisko (Kalifornia) donosi, że w mieście tem, w podróży *naokoło świata*, zatrzymał się na pewien czas pan Napoleon Żaba, mieszkający stale w Krakowie. Pan Żaba przedsięwziął tę wielką podróż własnym kosztem, w celu naukowym; objechał on już całą południową Amerykę: był

w Peru, Chilli, Buenos-Ayres, Ecuador, Meksyku; teraz zaś ma zamiar udać się do wysp Sandwichskich i innych wysp na oc. Spokojnym, później do Australii i Japonii, dalej do Indyj wschodnich, zkąd przez kanał Suezki do Afryki i t. d. Obszerne dzieło o tej podróży ma się ukazać najprzód w języku polskim. Całą tę podróż odbywa pan Żaba w towarzystwie młodej, nadobnej i wysoko wykształconej córki, która z poświęcenia dla ojca podeszłego wieku, aby mu być pomocą, nie zważa na żadne trudności i niebezpieczeństwa, do takiej podróży przywiązane.....

Literackie.

— Pisarz Serbski Nowakowicz, przełożył na język serbski „*Grażynę*“ Mickiewicza.

— Nakładem S. Lewentala wyszedł z druku trzeci i ostatni zeszyt Albumu Matejki.

Artystyczne.

— Instytut Muzyczny Warszawski (Konserwatoryum) urządza przedstawienie sceniczne na rzecz niezamożnych uczniów tegoż Instytutu, które ma się odbyć w Cyrku Salamońskiego, d. 12 (24) czerwca r. b. o godzinie 8-ej wieczorem.

Program składać się będzie z jednego aktu opery p. t. *Matrimonio Segreto* Cimarosy i z komedyi.

— Z pism włoskich dowiadujemy się, że p. Teodozya Friderici-Jakowicka, śpiewa obecnie z nadzwyczajnem powodzeniem w Ravennie nad brzegami Adryatyku, gdzie została zaangażowaną na sezon kąpielowy, (t. z. *fiore*). Słyszący naszą artystkę jeden z impressariów w „Aidzie“, Verdiego, zaangażował ją natychmiast do Verony, specyalnie dla wyż wymienionej opery Verdiego i tegoż Mszy żałobnej.

— W tych dniach Rubinstejn był w Berlinie. Nowa jego wielka opera „*Neron*“ jest prawie ukończoną i jak mówią w czasie przyszłej zimy graną będzie w Paryżu i Berlinie, gdzie partyę Nerona śpiewać ma Niemann.

Szkoły.

— Z początkiem roku szkolnego 1876/7 p. Ludwik Łopuski b. Nauczyciel i Inspektor gimnazyum, otwiera w Warszawie szkołę realną 6-cio klassową, z planem nauk zastosowanym do potrzeb technicznych, z przeważnym wykładem Chemii. Szkoła mieścić się będzie przy ulicy Długiej Nr. 5 dom Popauliński.

— Pan Minister Oświecenia Publicznego upoważnił do użycia na rozprzestrzenienie i urządzenie laboratoryów chemicznego i gospodarstwa wiejskiego w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Nowej Aleksandryi *sześciu tysięcy rubli*, z specyalnych funduszów tego zakładu: i *trzystu dwudziestu siedmiu rubli* na drukowanie rozpraw, naukowych prac wykładających i pamiętnika pomienionego Instytutu, z mających utworzyć się w końcu roku bieżącego wolnych remanentów z sumy na utrzymanie osobistego składu Instytutu.

— „Dziennik Warszawski“ pisze:

„W obec udzielonego przez wyższą władzu Kuratorowi warszawskiego okręgu naukowego poruczenia — przedstawienia wniosków co do projektu otwarcia w warszawskim okręgu naukowym wyższej szkoły technicznej, na wzór moskiewskiej, Kurator okręgu uznał za właściwe prosić Ministra Oświecenia Publicznego o delegowanie do Moskwy jego pomocnika, rzecz. radcy stanu Woroncowa-Weljaminowa, dla bliższego i szczegółowego obznajmienia się z organizacyą Cesarskiej moskiewskiej szkoły technicznej i biegiem w niej nauk. Na zrobioną w skutku tego odezwę przez Ministerstwo Oświecenia Publicznego do Głównozarządzającego IV Wydziałem Przybocznej Jego Cesarskiej Mości Kancelaryi, otrzymana została odpowiedź Jego Wysokości o dozwoleniu panu Woroncowowi-Weljaminowowi obejrzenia we wszystkich szczegółach tej szkoły i Minister Oświecenia Publicznego postanowił wydelegować w tym celu rzeczywistego radcę stanu Woroncowa-Weljaminowa do Moskwy na trzy tygodnie.

— Jak donosi „Kaliszanin“ w dniu 1 stycznia 1876 r. było w gubernii Kaliskiej 262 szkółek elementarnych — w tej liczbie wiejskich 153, gminnych 73 i miejskich 36. Największa liczba szkółek przypada na powiat wieluński (55), najmniejsza na powiat słupecki (20). w Ciągu pierwszych trzech miesięcy roku bieżącego, założona została jednoklasowa szkoła ogólna we wsi Cisowie w powiecie turskim — z etatem po rs. 180, a nadto zapadły, lecz jeszcze w wykonanie nie zostały wprowadzone uchwały, co do założenia jednoklasowych szkół ogólnych we wsiach Kostrzewicach i w Kościelnej wsi, w pow. kaliskim.

— W Chełmie, 25 kwietnia (7 maja) r. b. dany był amatorski wieczór muzyczno-dramatyczny na korzyść ubogich uczniów gimnazyum miejscowego; uzyskane z tego wieczoru 153 rub. oddane zostały do rozporządzenia rady pedagogicznej gimnazyum chełmskiego, która postanowiła podziękować naczelnikowi straży ziemskiej powiatu chełmskiego, sztabskapitanowi Trzeciakowi, jako głównemu uczestnikowi i gospodarzowi na tym wieczorze.

— Donoszą nam, pisze Korespondent Płocki że w Komorowie pod Brodnicą (Strassburg w Pr. Zach.), urządza pan Zieliński, praktyczną szkołę gospodarstwa wiejskiego, przybierając do pomocy w kierowaniu zajęciem uczniów, pana Śniegockiego, dawniej docenta Szkoły roln. w Żabikowie a ostatnio rządcy dóbr Napolsk w Wyszogrodzkiem. P. J. będzie czytał kilka przedmiotów najważniejszych, wybranych z nauk do gospodarstwa zastosowanych; tak więc młodzież będzie miała sposobność nie tylko poznać gospodarczą machinę z korzyścią przez dzierżawcę prowadzoną, ale także będzie słysza a systematyczny wykład gospodarstwa w ramach odpowiednich. Dotąd zgłosiło się tam 6 uczniów. Nowo budujący się dom pomieści salę na audytoryum, mieszkanie na 10 uczniów, biuro gospodarcze i mieszkanie pana S., który zarazem pracami w biurze kierować będzie, aby tym sposobem młodzież do rachunkowości wprawiać.

Mamy nadzieję, dodaje szłusznie „Korespondent“ że Zarząd praktycznej Szkoły gospodarstwa wiejskiego, rozkład nauk i sposób nauczenia praktyki ogłosi; życzyć by tego należało już z tego względu, że dotąd kilku praktykantów z naszych stron jest podobno w Komorowie, leżącem tuż przy słupach granicznych, a że jeszcze są 4 miejsca wolne, więc będzie ich prawdopodobnie więcej.

— Szkoły rządowe sześcio-klasowe rerealne w Warszawie i Łowiczu, z początkiem roku szkolnego 1876/7 otzymują 7-ą klasę. Podobno, opłata szkolna uiszczana dotąd, jak wiadomo, w terminach półrocznych z góry— dla uprzystępnienia uboższej młodzieży, ma być zamienioną przez władzę naukową na raty miesięczne.

— Sejm galicyjski podniósł z 10 tys. na 15 tys. złr. roczny zasiłek dla akad. umiejętności krakowskiej.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Radec. w Paryżu. Dziękujemy serdecznie za słowa uznania. Kierunku, o jakim Pan mówisz, trzymamy się i trzymać się będziemy w piśmie naszem; rozumiemy bowiem potrzeby postępu wiedzy i moralności, tak konieczne wszędzie jak i u nas.

Panu Sulis. w Nowym-Yorku. Żądane książki wysyłamy. Z popularnych, popierających hipotezę zamieszkalności planet, polecamy Panu dzieło *Flammarjona*, p. t. *Wielość światów zamieszkiwanych*, które w przekładzie polskim *J. Wagi*, doczekało się powtórnego wydania. Z dziedziny filozofii materyalistycznej, polecamy dzieło p. t. „Dzieje utworzenia przyrody" Dra Ernesta Heckela, również w tłomaczeniu polskiem znajdujące się.

Pani Amelii Opol. Przeceniasz Pani zasługę naszą w kwestyi pomocy dla szwaczek. Podnoszenie bowiem podobnych kwestyj, jest obowiązkiem każdego publicysty. Dziękujemy za słowa uznania.

Biednej szwaczce. Współczucie bliźnim jest obowiązkiem każdego uczciwego człowieka, dla tego też wypełniliśmy tylko swój obowiązek, dotykając kwestyi szwaczek.

Panu Wysoc. w Petersburgu. Ekonomja polityczna Roschera jest bardzo dobrą i znajduje się w polskim przekładzie. W razie zażądania, prześlemy ją Panu.

Pani M. Kar. „*Szkice społeczne*" napisał p. Feliks Ehrenfeucht, czy przesłać tę książkę? — Broszurę „O prawdzie w literaturze" tegoż autora, przesyłamy, kosztuje kop. 20.

Panu Alfonsowi. Chciej nam Pan wierzyć, że słusznie nazwaliśmy ich zdechlaczkami.

P. Zakowicz. Z nadesłanych rs. 10, zatrzymaliśmy rs. 4 na II półrocze Opiekuna Domowego; rs. 6 przesłaliśmy p. Lewentalowi. Reklamowane numery 11, 14, 18, 20 i następne przesyłamy Szanownemu Panu dla dogodności jego—ponieważ wszystkie numery przesyłaliśmy najakuratniej, o czem zechce się pan łaskawie przekonać na stacyi pocztowej.

P. Goliń w Kolnic. Z nadesłanych rs. 4, zapisaliśmy rs. 2 na prenumeratę Opiekuna Domowego w kwart. II. Rs. 1 k. 25 wnieśliśmy na przedpłatę „Tygodnika Romansów i Powieści“. — Za dwa walce Straussa wysłane łącznie z N. 23 i 24 zapłaciliśmy rs. 1 kop. 5, za przesyłkę kop. 16 — mamy więc u Szanownego Pana kop. 46. Co do metody wiadomej, odpowiemy później po zniesieniu się z p. Korzeniewskim.

Panu Sucheck.... w Brzesciu Litewskim. Numer niniejszy posyłamy z nadmienieniem, że nie mamy Pana wcale na liście prenumeratorów; raczy Pan więc o brakujące numera odnieść się do księgarni przez pośrednictwo której, pismo wypisanem zostało.

Дозволено Цензурою. Варшава 10 (22) Іюня 1876 г. W drukarni Józefa Kaufmana. — Warszawa, Nr. 638 (9 nowy).

Wydawca KORZENIOWSKI. Redaktor HENRYK PERZYŃSKI.